



GRUPA ORGANIZACYJNA XX ZŁOTU  
POLSKIEGO RUCHU PRZYJACIÓŁ INDIAN

UL. REYMONTA 21/7  
64-800 CHODZIEŻ  
TEL. (0-67) 821-725

Z A P R A S Z A M Y



## JAK TO Z NAMI JEST

Dwadzieścia lat temu odbył się pierwszy ogólnopolski zlot przyjaciół Indian, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Ruch Indiański w Polsce nie powstał nagle, bez wiadomej przyczyny. Nie byliśmy ani pierwszymi, ani jedynymi Polakami, którzy zainteresowali się Indianami. Poprzedzili nas pokolenia podróżników, wędrowców i obieżyświatów, dziennikarzy i reporterów, rodaków chwytających za pióro albo szablę, zależnie od potrzeb.

Oto więc „polski” numer Tawacinu, w którym szczególne miejsce ma druga część eseju Janusza Jaskulskiego „Polskie opisanie świata”, ukazującego ogromny dorobek naszych poprzedników w popularyzacji Indiańskiej Drogi. Zaryzykuję stwierdzenie, że bez nich nie byłoby dziś naszego Ruchu. Jesteśmy ich spadkobiercami i kontynuatorami, o czym przekonują „Zapiski z rezerwatu” Jaceka Piwowskiego, który od kilku lat mieszka wśród Czarnych Stóp.

Choć w polskich muzeach znajdują się przedmioty należące niegdyś do Indian, nie było nas wśród grabieżców tubylczych kultur. To ważne. Polaków zawsze interesowało raczej życie tych ludzi i los, tak podobny naszemu, aniżeli gromadzenie materialnych pamiątek. Także Tawacin pragnie utrwalić wizerunek Indian w świadomości czytelników, uwypuklić uniwersalne wartości kultur tubylczych, zachować je przed zapomnieniem i niezrozumieniem.

Redaktor

## TAWACIN

Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Mirosław Dunin-Sułgostowski, Waldemar Kuligowski, Maciej Lewandowski, Dariusz Pohl i Aleksander Sudak **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** M-DRUK Zakład Poligraficzno-Wydawniczy, ul. Konopnickiej 50, 62-100 Wągrowiec.

## W tym numerze:

**Indianie i praca na roli w Japonii** – refleksje Matsui Toshinobu o tym, czego nauczył się od Indian

**Polskie opisanie świata. Podróże i tułaczki. Gabinety osobliwości (XVII–XIX/XX w.)** – druga część eseju Janusza Jaskulskiego o odkrywaniu indiańskiej Ameryki przez naszych poprzedników

**Zapiski z rezerwatu** – Jacek Piwowski dzieli się swymi spostrzeżeniami o życiu wśród Czarnych Stóp w Montanie

**Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregonie Szlaku 1859–1863** – dokończenie eseju Brigham D. Madsena o mało znanych epizodach wojny Indian z osadnikami w Oregonie

**ZLOT** – pierwszy, trzeci, dziesiąty, siedemnasty i dwudziesty w fotografii barwnej i czarno-białej

**Zanim powstał Polski Ruch Przyjaciół Indian** – Jacek Przybylak odsłania kulisy organizacji I zlotu polskich przyjaciół Indian w Chodzieży

**XX Zlot PRPI – Chodzież '96** – ostateczna informacja o tegorocznym spotkaniu

**Film a Indianie** – kilka subiektywnych uwag Jana Szturca

**Zrozumieć Indian** – Jacek Konieczny podejmuje próbę przybliżenia światopoglądu ludów pierwotnych

**Z ziemi Indian** – serwis informacyjny

**Ponadto:** poezja, recenzje, listy i zwierzenia Cienia

**Na okładce:** XVII Zlot PRPI – Uniejów 1993. Fot. Mirosław Baryga

**Podziękowania:** Liliana Gąsiorowska, Maria Giżycka, Małgorzata Wysocka, Przemysław Bartuszek, Mirosław Baryga, Radosław Delida, Krzysztof Hirschfeld, Gabriel Kołowski, Bartek Stranz, Stanisław Supłatowicz (Sat-Okh), Jerzy Szczęsny i Jakub Szlukier

Numer zamknięto 31 maja br.

W zeszłym roku przestałem podróżować i wróciłem do Japonii. Przez dwa lata przebywałem na drugiej półkuli. Podczas mojej podróży spędziłem dwa miesiące w rezerwacie Indian Nawaho w Arizonie.

Matsui Toshinobu

## Indianie i praca na roli w Japonii

Dlaczego Indianie podbili moje serce? Jak żyli Nawahowie kiedy przebywałem u nich? Co znaczy dla mnie teraz gospodarowanie na ziemi? O tym chciałbym napisać.

Sześć lat temu mieszkałem w Tokio, wiodąc samodzielne życie, lecz zawsze lubiłem ziemię. Udałem się więc do Nagano-ken, rolniczego regionu w Japonii. Mieszkałem tam i w miesiącach letnich pracowałem w gospodarstwie warzywniczym. Potem przenieśliśmy się do Azumino – innego miejsca w prefekturze Nagano, gdzie pracowałem w sadach jabłkowych. Wtedy nie wiedziałem jeszcze dlaczego chcę pracować na roli. Teraz myślę, że szukałem drogi do życia z naturą – wszystkimi istotami. Wtedy spotkałem Indian.

Indianie wierzą, że ziemia jest naszą matką, zawsze nas kocha i daje nam dużo rzeczy: wodę – gdy jesteśmy spragnieni; pożywienie – gdy jesteśmy głodni. To są dary ziemi. Bez tego nie moglibyśmy przeżyć nawet jednego dnia. Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami. Każde życie i rzecz rodzi się z tej samej ziemi. Musimy opiekować się naszą matką. Musimy chronić ją od ran i chorób. To jest nasza powinność, z którą przyszedłszy na świat. Wiara w to trwa wśród Indian od tysięcy lat.

Kiedy usłyszałem o tym, byłem bardzo szczęśliwy. *Chcę spotkać Indian, chcę znaleźć się na indiańskiej ziemi* – myślałem – *chcę doświadczyć, jak ludzie tam żyją*. Nie było innego sposobu jak przekroczyć ocean.

„Indianie” – jakież obraz ci to słowo niesie? Pióropusz na głowie, jazda konna, polowanie na bizony na prerii – tak to sobie możesz wyobrazić. Ale tzw. Indianie prerii to tylko część indiańskich narodów i jest to ich stary obraz sprzed ponad stu lat. Faktycznie istnieje wiele narodów o różnych kulturach i sposobach życia, tak samo jak na kontynencie azjatyckim znajduje się wiele krajów i narodów, z których każdy posiada swoją kulturę. I podobnie jak nie ma już w Japonii samurajów, tak i życie dzisiejszych Indian jest inne.

Odwiedziłem kilka indiańskich rezerwatów w USA i Kanadzie. Rezerwat Nawahów był jednym z nich. Tam spędziłem najwięcej czasu. Nawahowie są największym narodem indiańskim w Ameryce Północnej. Około dwustu tysięcy ludzi żyje na obszarze większym niż wyspa Shikoku w Japonii. Większość ziemi Nawahów to pustynia. Otwarte przestrzenie ciągnące się setkami mil, poprzecinane głębokimi kanionami. W pierwszej chwili byłem zafascynowany tym widokiem, ale później zacząłem się zastanawiać jak człowiek może tutaj żyć. Natura jest bardzo surowa. Promienie palącego słońca próbują wcisnąć mnie w ziemię. Żadnych miękkich, zielonych traw, tylko chwasty klujące moje stopy. *Jakaż sroga jest tutaj natura dla człowieka* – myślałem. Ale po dwóch miesiącach życia z Indianami Nawaho przekonałem się, że to nie jest prawda.



Miejsce, gdzie przebywałem zwane jest Big Mountain. Nawahowie wiodą tam tradycyjne życie. Mieszkają bez elektryczności, gazu czy bieżącej wody. Drogi nie mają utwardzonej nawierzchni. Mową codzienną jest język Nawaho, a nie angielski. Byłem dla nich po prostu obcokrajowcem z Japonii, lecz przyjęli mnie bardzo ciepło.

Tradycyjny dom Nawahów, zwany *hoganem*, to jednoizbowy budynek, zbudowany z drewna i mułu. Jest skonstruowany w prosty sposób, ale w środku jest chłodno, nawet w upalne dni i ciepło, kiedy pali się ogień, nawet w chłodne noce.

Pozwolono mi zostać *whoganie*, a ja pomagałem w codziennych pracach. Nawahowie hodują owce. Jest to ich najważniejsze zajęcie. Kiedy wstaje słońce to czas wyprowadzić głodne owce z zagrody. Owce posuwają się wolno, poszukując i jedząc suche, klujące chwasty. A ty idziesz za nimi miła za miłą. Jest to główne zajęcie w ciągu dnia. Owca daje mięso oraz wełnę, którą kobiety zamieniają na odzież. Czasem do pilnowania stad używa się koni. Każda rodzina posiada kilka koni. Nie trzyma się ich w zagrodach. Pasą się wolno i tylko kiedy zachodzi potrzeba, siodła się je i używa do pilnowania owiec.

Ważną czynnością jest pozyskiwanie drewna na opał. Do gotowania i ogrzewania potrzeba dużo drewna. Można pomyśleć, że tam nie ma drzew. Ale można je znaleźć w górach. Ścina się drzewa suche, które zapewniają wystarczającą ilość opału.

Nawahowie zajmują się również rolnictwem. Pomagałem przy zbiorach kukurydzy. Kukurydza o czerwonych, żółtych, białych i niebieskich ziarnach rośnie na ponurych polach. Wyglądają jak piękne klejnoty. Uprawia się również melony. Trudno uwierzyć, że takie soczyste owoce mogą rosnąć na tak wysuszonej ziemi. To cud natury.

Moje dwa miesiące wśród Nawahów minęły jak jedna chwila. Z początku natura wydawała mi się bardzo surowa. Ale tak nie jest. Po dwóch miesiącach uświadomiłem sobie, że przyroda daje ludziom rzeczywiście wiele rzeczy. Jest oczywistym faktem, że sucha ziemia to czuła matka trzymająca Nawahów w swoich ramionach. A Nawahowie troszczą

się o swoją matkę ziemię i żyją w harmonii z naturą.

Japonia ma zupełnie inny klimat i cechy naturalne niż Arizona. Ale również w Japonii istnieje sposób na życie w harmonii z naturą. Jest to praca na roli. Tradycyjne rolnictwo związane z uprawą ryżu. Tradycyjna uprawa ziemi daje nam dobrą żywność, czyste powietrze i uprzyjemnia nasze codzienne życie. Ktokolwiek zajmował się uprawą ziemi, wie jak potężna i cudowna jest natura. Jest to rolnictwo pochodzące od harmonii natury z człowiekiem.

Nawahowie posiadają swoją rodzimą, piękną kulturę: święta, ceremonie, tańce, pieśni, które powstały w życiu związanym z naturą. Oczywiście, życie Nawahów zmienia się dzisiaj. Jednak Nawaho pozostanie Nawahem jeśli utrzyma swój związek z matką ziemią.

Również nasz naród posiada swoją wspaniałą tradycyjną kulturę: święta, obrzędowość związaną z porami roku, różnorodne lokalne potrawy, muzykę, rękodzieło. Pochodzą one z życia opartego na rolnictwie. Radość z dobrych zbiorów, dziękczynienie naturze – to ukształtowało nasze umysły, stworzyło kulturę. Jeśli rolnictwo, fundament tego wszystkiego, zaniknie – my, Japończycy nie będziemy już Japończykami. Tę ważną tradycję i kulturę musimy zostawić następnym pokoleniom.

Wszyscy żyjemy kosztem natury. Uprawa ziemi nie polega na tym, żeby ranić naturę, matkę ziemię, ale aby żyć z nią w harmonii. Praca na roli ukształtowała nasz umysł. Zamierzam dalej dobrze prowadzić gospodarstwo rolne, by żyć z ziemią. □

Matsui Toshinobu

Przełożył Roman Bala

Nobu – jak go wszyscy nazywają – uczestniczył w kilku Świętych Biegach. W latach 1993-94 spędził kilka miesięcy w Polsce. Obecnie, razem z żoną Mari, prowadzi gospodarstwo rolne w prefekturze Wakayama. Niektórzy uczestnicy Świętego Biegu w Japonii złożyli mu w zeszłym roku wizytę (zob. „Tawacin” nr 3[31], Jesień 1995). Powyższy artykuł ukazał się pierwotnie w czasopiśmie „Hyakusho Tengoku” (Niebiański Chłop) nr 8, 1994. Przedruk w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą autora.

ANNIE WEST (OTOE-CREEK)

## Wiersz do ojca

Benjaminowi Arkeketa

Patrzyłam jak się starzejesz  
w cieniu własnego światła  
i widziałam jak uchodzi  
blask z twoich oczu

spoglądasz na siebie  
zabierając ze sobą marzenia  
w tygodnikach z pięknymi  
tęsknymi zdjęciami

dotykając kamienia,  
drzewa  
znajdując rym z wodą

bo nie umieliśmy  
dzielić tych samych słów  
moja niepewność pozostaje

jak czasy  
które mi się przypomniały  
od niewyraźnej odbitki  
twarzy w gazecie  
i oczu  
z dumnym głodem  
jakiego nigdy nie doznam

Z tomu PRAIRE (Blue Cloud Quarterly, Vol.. 24, No. 4, 1978)

Dedykuję przekład tego wiersza Markowi Nowocieniowi  
na znak więzi i zrozumienia po śmierci jego taty.

Marek Maciołek

## POLSKIE OPISANIE ŚWIATA (2)

### Podróże i tułaczki. Gabinety osobliwości

(XVII–XIX/XX w.)

Początki polskich zbiorów amerykańskich sięgają przełomu renesansu i baroku. Wywodzą się one od średniowiecznych pamiątek i osobliwości gromadzonych przy kościołach, gdzie zawieszano „kości zwierząt przedpotopowych” czy inne „wybryki natury”, np. w portalu katedry wawelskiej. Także gromadzone na zamkach rycerskich i dworach szlacheckich trofea myśliwskie czy broń bywały załącznikiem większych zbiorów. Bezpośredni i duży wpływ na powstanie i rozwinięcie owej „mody” miały rozpoczynające się w wieku XV i XVI wyprawy odkrywcze Kolumba, da Gamy, Magellana i innych wielkich podróżników. Przywożone z tych wypraw dzwiny i nieznanne okazy wzbogacały powstające na dworach władców i magnatów całej Europy gabinety osobliwości zawierające *naturalia* (okazy przyrodnicze) i *artificialia* (dzieła rąk ludzkich).

Pierwszym polskim gabinetem osobliwości, w którym odnotowane zostały obiekty amerykańskie, były zbiory księcia Bogusława Radziwiłła powstałe w połowie XVII wieku. Oprócz bogatej kolekcji ponad tysiąca obrazów, książę Bogusław posiadał „bogaty gabinet sztuki i osobliwości z różnorodnymi *raritates*, jak ozdoby szkatuły, wyroby z emalii i kości słoniowej, zegary, instrumenty matematyczne, szkielety, muszle i wyroby Indian amerykańskich”. Wiadomo, iż wielu Radziwiłłów podróżowało po Hiszpanii, Niderlandach i Anglii, utrzymując przy tym bliskie kontakty z osobami bywającymi w Nowym Świecie, na przykład z Karolem Kurejuszem, wykładowcą i rektorem pierwszej wyższej szkoły w Nowym Amsterdamzie. Najprawdopodobniej więc wspomniane „wyroby Indian amerykańskich” pochodzą z terenów pn-wsch Ameryki angielskiej czy holenderskiej i były jednym z efektów zainteresowań Radziwiłłów podbojem

nowo odkrytych ziem.

Dobór zbiorów do tychże gabinetów odbywał się przypadkowo, a jego głównym celem było zaspokajanie własnych doznań estetycznych i ambicji, a także podniesienie splendoru dworu. Od tej reguły odbiegały zbiory przyrodników gdańskich, takie jak Gotwaldianum, Hornianum czy Brenyanum, mające cechy naukowego traktowania kolekcji w postaci gabinetów historii naturalnej. Dotyczyło to zwłaszcza „zielników żywych”, złożonych z naklejanych na papier roślin pochodzących niemal z całego świata, w tym także z Ameryki. Część z nich przetrwała do naszych czasów.

Pierwszym polskim wzmiankowanym kolekcjonerem rękodzieła indiańskiego był Piotr Grozmani, mieszczanin warszawski, który w 1774 roku podróżował po Brazylii przywożąc stamtąd „kolekcję rzeczy mniej u nas widzianych”. Ofiarował on ją ostatniemu polskiemu władcy, Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, który w zamian wynagrodził podróżnika niewielką pensją. Owa kolekcycja trafiła do królewskiego gabinetu osobliwości. Nie wzbudziła zbyt wielkiego zachwytu, skoro Stanisław August, w odpowiedzi na prośbę kolekcjonera o dalszą pomoc, odpisał, iż „ten pan Grozmani, nie pożądajacemu mnie tych ciekawości morskich, narzucił władnie one, prosząc za łaską, abym je przyjął”. Był nawet gotów zwrócić je pierwotnemu właścicielowi. Być może zbiory siemiatyckiego gabinetu księżnej Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, jednego z najbogatszych w XVIII-wiecznej Europie, zawierały pojedyncze obiekty sztuki indiańskiej.

Ślady *artificialiów* amerykańskich można znaleźć w zbiorach pierwszego na ziemiach polskich muzeum, powstałego w latach 1801–1807 w puławskiej rezydencji Czarotoryskich. Ich właścicielka, księżna Izabella, zgromadziła w Świątyni Sybilli i Domu Gotyckim zarówno

trofea zwycięskich wojen i bitew polskich, obiekty ze skarbcza na Wawelu, jak i obiekty tworzące „wielki relikwiarz pamiątek historii świata”, gdzie obok kołpaka chana Gireja znalazły się sandały Montezumy. Na ile był to obiekt prawdziwy, trudno dziś dociec, zwłaszcza, że kolekcja ta nie przetrwała w całości.

Okres zaborów, pomimo niekorzystnych warunków – obce panowanie, powstania i rewolucje – nie zahamował całkowicie rozwoju polskich zainteresowań ludami pozaeuropejskimi, w tym także tubylcami amerykańskimi. Wykształcone w dobie Oświecenia prądy umysłowe i techniki badawcze, w powiązaniu z dość przypadkowymi kolejami losów, pozwalały na prowadzenie bardziej systematycznych penetracji czy badań. Dotyczy to przede wszystkim nauk przyrodniczych, których przedstawiciele wyjeżdżali do Ameryki głównie jako emigranci polityczni po kolejnych zrywach narodowościowych, rzadziej zaś korzystając ze wsparcia europejskich ośrodków naukowych. Jeszcze inni docierali tam, kierowani żądzą przygód i pasją poznania, zdobycia sławy i pieniędzy.

Wątek etnograficzny miał w takich sytuacjach charakter indywidualnych poczyniń, dokonywanych na marginesie często pionierskich dokonań w interiorze lub działalności państwowo-twórczej. Rezultatem tych wyjazdów i pobytów były liczne opisy i relacje, mówiące nie tylko o wrażeniach z fascynujących podróży, ale także charakteryzujące obyczaje i aktualne położenie autochtonicznej ludności tego kontynentu. Mają one przede wszystkim walor poznawczy i pomimo swego europocentryzmu stanowią cenny materiał źródłowy m.in. dla studiów porównawczych. Część z nich, wzbogaconą publikacjami i zbiorami muzealnymi, stanowi wymierny wkład Polaków w poznanie kultur tubylczych Ameryki.

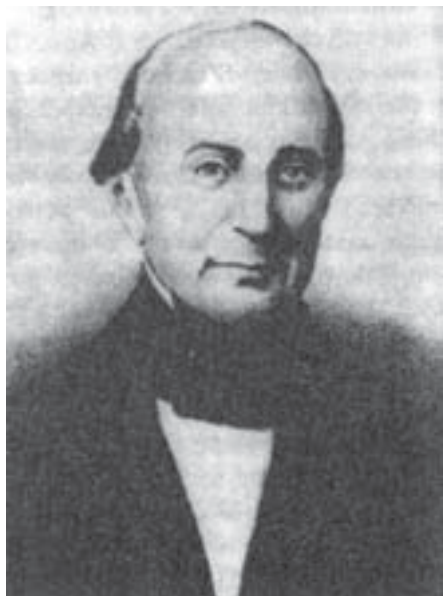
Pierwszą relacją z podróży z 1783 roku po niepodległych już Stanach Zjednoczonych pozostawił po sobie poeta, filozof i tłumacz Tomasz Kajetan Węgierski. Przedstawia w niej, prócz spotkań z Waszyngtonem i Kościuszką, także wrażenia z wizyt u Indian Tuscarora i Conostaga z pn-wsch. Stanów, zwracając uwagę na ich „dzikie obyczaje”.

Znacznie cenniejszych i wnikliwszych obserwacji dokonał Julian Ursyn Niemcewicz, polityk, pisarz i historyk. Podróżując po wschodnich połaciach USA w roku 1798 i 1805, prowadził pilne obserwacje wśród takich ple-

mion jak Oneida, Mohawk, Onondaga i Seneca. W swoich *Podróżach po Ameryce...* (1959) z zatoroskaniem przedstawił upadek moralny tubylców żyjących w rezerwach, pozbawionych ziemi i wszelkich praw obywatelskich. Pisał, iż „...Indianie oglupiani są piciem... i utrzymywani w ciemnocie”. Niemcewicz zajmował się także zagadnieniami etnogenezy, dokonując porównania rysów twarzy Indian do rysów ludów pd-wsch. Azji, potwierdzając opinię, „iz Ameryka przez brzegi północne Azji i Kamczatki zaludniona była”. Interesujące są także jego opisy strojów, domostwa i życia codziennego wzbogacone szkicami przedmiotów rękodzieła, a także zebrane okazy przyrodnicze w postaci herbarium. Niestety, zachowała się tylko część tych zapisków. Niemcewicz był także autorem pierwszej w świecie biografii Jerzego Waszyngtona, której wersja angielska ukazała się w 1803 roku.

Pochodzący z podpoznańskiej Głuszyny Paweł Edmund Strzelecki, geolog i geograf, po upadku powstania listopadowego i studiach w Anglii – jako pierwszy Polak – podjął indywidualną wyprawę naukową naokoło świata. Początkowym etapem była Ameryka Północna, gdzie w latach 1834–35 prowadził badania agronomiczne, geologiczne jak i etnograficzne na obszarze od Wielkich Jezior po Zatokę Meksykańską. Najdłużej przebywał wśród Huronów w okolicach jez. Ontario i u Seminolów na Florydzie. Swoją uwagę skupił na ich aktualnej sytuacji i zanikiem rodzimej kultury. W latach 1835–37 kontynuował obserwacje w krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie np. w pn-zach. Meksyku badał zwyczaje Indian Yaqui, zwiedził prekolumbijskie ruiny w Jalisco, poszukując także w archiwach danych mówiących o sytuacji tubylców w okresie konkwisty. Podróżując kolejno m.in. przez Brazylię dotarł do Argentyny i Chile. W Buenos Aires w roku 1836 na własne oczy widział wymordowanie 110 Indian na Placu Retiro, którzy przybywszy zwiabieni obietnicą rozmów z władzami „...padli ofiarą własnej naiwności i lekkomyślnego zaufania”. Oburzony takim postępowaniem białych, Strzelecki zaprotestował zdecydowanie stając po stronie upominających się o swe prawa tubylców. Determinację i bezwzględny opór stawiany Europejczykom polski badacz nie odbierał jako przejaw okrucieństwa i bestialstwa, ale rozumiał to jako jedyną możliwą postawę Indian walczących w obronie swej ziemi. Tym samym Strzelecki

stał się jednym z prekursorów obrony praw ludności autochtonicznej na kontynencie amerykańskim. Na bazie poczynionych obserwacji, uczony sformułował tezę zwaną „Prawem Strzeleckiego” (Strzelecki Law) wyjaśniającą zanik grup tubylczych wskutek kontaktu z białymi ludźmi. Materiały z podróży po Ameryce zostały włączone do publikacji *Nowa Południowa Walia* (1958).



Ignacy Domeyko (1802–1889), badacz kultury Araukanów chilijskich.

*Araucania y sus habitantes* (1845) Ignacego Domeyki jest po dziś dzień jedną z podstawowych monografii kultury Araukanów, mieszkańców środkowego Chile. Indianie ci, jako jedni z ostatnich na kontynencie, nie ulegli potędze zbrojnej Hiszpanów, a jeszcze wcześniej skutecznie opierali się naporowi Inków. Ta nieugięta postawa i zamiary rządu chilijskiego, dążącego do podporządkowania sobie wojowniczych Indian na drodze zbrojnej, legły u podstaw decyzji wyjazdu Domeyki do kraju Araukanów. Autor *Araucanii i jej mieszkańców* – wersja polska ukazała się w 1860 roku – już podczas studiów w Wilnie wykazywał zainteresowania ludoznawcze. Po upadku powstania listopadowego i studiach geologicznych

w Paryżu, znalazł swoją drugą ojczyznę w Chile, gdzie jest uznawany za ojca górnictwa i twórcę studiów technicznych. Sympatia i szacunek dla walczących o swą wolność Indian została dodatkowo pogłębiona lekturą epopei Alonso de Ercilli *La Araucana* i studiami starych kronik hiszpańskich z lat konkwisty. Indiański epizod w długim, bogatym pobycie w Chile (1837–89), był stosunkowo krótki, ale owocny. Domeyko, w okresie od stycznia do kwietnia 1845 roku, spenetrował obszar zamieszkały przez tubylców między rzekami Bio-Bio i Cruces. Dane o Araukanach, dzielących się na kilka grup takich jak: Picunche, Mapuche, Huilliche, Cunco, Pehuelche i Araukanie argentyńscy, badacz czerpał zarówno z bezpośrednich obserwacji, rozmów z kacykami, misjonarzami, urzędnikami, jak i z archiwów. Obraz kultury Araukanów został przedstawiony w trzech zasadniczych częściach, które kolejno opisują „położenie fizyczne i naturę fizyczną”, „stan moralny”, zwyczaje i obyczaje oraz „przyczyny, jakie stanowią przeszkody w cywilizacji Indian Araukańskich i środki znajdujące się najwłaściwszymi do osiągnięcia tego celu”. Cechą wyróżniającą to dzieło spośród innych prac jest zawarta w nim próba wskazania drogi do uregulowania kwestii indiańskiej poprzez integrację. Cel ten miał zostać osiągnięty poprzez „ucywilizowanie Indian”, pod którym to pojęciem polski uczony rozumiał chrystianizację, szczegółowo przedstawiając swą wizję z możliwymi sytuacjami konfliktowymi. Autora *Araucanii*... można z tego względu uznać za prekursora antropologii stosowanej, zwłaszcza, iż władze rządowe w okresie późniejszym zrealizowały część jego postulatów. Przedłużeniem ludoznawczych pasji Domeyki było założenie jeszcze w 1845 roku w La Serena, gdzie mieszkał, Muzeum Etnograficznego poświęconego kulturze Araukanów i innych grup tubylczych. Z jego inicjatywy, na jednym z międzynarodowych kongresów geograficznych w Europie, Chilijczycy prezentowali swoje materiały i prace geograficzne i etnograficzne. Domeyko jeszcze na krótko wrócił do kraju Araukanów – było to w 1882 roku, kiedy to wspólnie z synami odbył tam podróż koleją. Niewiele prac badacza kultury araukańskiej trafiło do kraju. Rękopisy jego dzienników są w zbiorach krakowskiej Biblioteki PAN, a z bogatej kolekcji zgromadzonej przez niego, w Muzeum Etnograficznym w Krakowie zachowały się tylko

dwa obiekty przekazane przez syna Hermana. Jest to kuta w srebro z monet hiszpańskich szpila Mapuche i wyplatana z liści torebka z wyspy Św. Wincentego. Także w krakowskim Muzeum Geologii PAN znajdują się dwa duże meteoryty: „imilac” i „vaca muerta”, zebrane przez Domeykę w Chile.

Znacznie dłużej wśród Indian przebywał Bolesław Horodyński, oficer powstania styczniowego, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1865 roku. Tam osiedlił się wśród Indian Omaha w stanie Nebraska, żyjąc z nimi 16 lat. Do kraju wrócił jako amerykański konsul, pisząc o swoich wrażeniach w warszawskich dziennikach (1884) i wydając *Wspomnienia z dalekiej przeszłości* (1925).

Niemal w tym samym czasie, bo w latach 1870–80, obszary zachodniej Kanady przemierzał Karol Horecki. Jako topograf zorganizował około 10 samodzielnych wypraw, często w niezbadane jeszcze połacie Gór Skalistych i Kolumbii Brytyjskiej, celem wytyczenia trasy przyszłej linii kolejowej. W ramach tychże badań prowadził obserwacje etnograficzne plemion Kwakiutl, Haida i innych. Zdobyte informacje zebrał w swoim obszernym raporcie *Canada on the Pacific... and notices on the Indian tribes of British Columbia* (1874).

Po Ameryce Północnej wędrowali także misjonarze, m.in. ks. Hieronim Kajsiewicz, który w latach 1865–71 wizytował placówki misyjne, w tym także wioski Irokezów i Algonkinów. Z dezaprobatą odniósł się do bestialskich metod białych Amerykanów, którzy w ramach „misji cywilizacyjnej dzikich” stosowali mordy, zarażanie ospą i grypą czy nieuczciwy handel i rozpijanie. Napotkani Indianie przestali już nosić swoje tradycyjne stroje, ubierając się już jak osadnicy.

Okres drugiej połowy XIX wieku w USA jest ostatnim etapem eksterminacji ludności autochtonicznej, znanym pod nazwą „podboju Dzikiego Zachodu”. Jednym z nielicznych Polaków, którzy naocześnie mieli okazję obserwować te wydarzenia, był znany wtedy polski podróżnik Sygurd Wiśniowski. Po pobycie w Australii i Oceanii, w 1873 roku przybył do Chicago. Penetrując stany Nebraska i Kolorado spotkał się z Indianami Ute. Osiedlwszy się w Minesocie, odbył szereg podróży po Środkowym i Dalekim Zachodzie USA, gdzie zetknął się zarówno z wolnymi jeszcze Siuksami, jak i plemionami zamkniętymi w rezerwach. W rok później, Wiśniowski w charakterze specjalne-

go korespondenta wziął udział w wyprawie gen. G.A. Custer, która w Górach Czarnych odkryła złoto. Dało to początek inwazji białych osadników, na krótko zatrzymanej zwycięstwem Siuksów w bitwie nad Little Big Horn w 1876 roku. Materiały ze swych amerykańskich wędrówek, opublikowane głównie w *Listach z Gór Czarnych* (1875), Wiśniowski w dużej mierze poświęcił Siuksom oraz ich walce o utrzymanie ziemi.

Echa tych wydarzeń opisał także Henryk Sienkiewicz w swoich *Listach z podróży do Ameryki* (1878), powstałych po jego pobycie w Stanach w latach 1876–78. Podróżując po całym kraju pisarz miał okazję spotkać się z Apaczami, Komanczami i Cahuijami goszcząc ponoć w ich osadach i z bliska przyglądając się tragicznemu epilogowi indiańskiej tragedii. Jako pierwszy Polak opisał postacie słynnych wodzów, Siedzącego Byka i Szalonego Konia, przypisując błędnie całkowicie temu pierwszemu pokonanie Custer. Sienkiewicza, prócz życia codziennego tubylców, zajmowało ich dramatyczne położenie, które trafnie ujął tymi słowami: „Najprzód odejmują mu cały obszar stepów bez końca, a dają kawałek ziemi, której on nie umie uprawiać, (...) bezpośrednim produktem, który wszyscy dzicy otrzymali od cywilizacji jest: wódka, ospa i syfilis; cóż dziwnego więc, że patrząc na cywilizację ze stanowiska tych najpierwszych dobrodziejstw, nie wzdychają do niej, bronią się i giną!” W tej właśnie perspektywie ujął Sienkiewicz problem indiański w *Sachemie*, noweli inspirowanej bezpośrednimi obserwacjami podczas wędrówek przez „krainy Apaczów i Komanczów” (1925). Warto jeszcze nadmienić o kolekcjonerskich zakusach pisarza objawiających się w nabytych łukach i strzałach, kupionych od Cahuijów, czy okazach zoologicznych i botanicznych z pd-zach. wybrzeży USA, traktowanych raczej jako pamiątki z podróży.

Fryderyk Schwatka, oficer US Army i badacz polarny, geograf, lekarz i prawnik, wniósł chyba największy wkład w „polskie opisanie ludów Ameryki Północnej”. Urodzony w rodzinie polskich emigrantów w Illinois, po studiach i służbie wojskowej, zainteresował się bliżej życiem Indian. W latach 1876–78 mieszkał w wioskach Siuksów, nauczył się ich języka i został członkiem plemienia. Swoje etnograficzne penetracje prowadził także wśród innych grup tubylczych środkowych i południowych Stanów, a także w Meksyku. Zebrane



informacje opublikował w książce *In the Land of Cave and Chiff Dwellers* (1893). Swoją uwagę poświęcił jednak głównie poznaniu terenów polarnych, podejmując kilka wypraw do Arktyki kanadyjskiej i Alaski w latach 1878–80 i 1882–91. Podczas ich trwania wyjaśnione zostały losy zaginionej ekspedycji J. Franklina sprzed pół wieku i wykonane prace topograficzne nieznanych dotąd terenów. Schwatka stykając się z Eskimosami szybko nauczył się ich języka, stając się jednym z największych autorytetów w tym zakresie. W swoim bogatym, a mało znanym w Polsce dorobku, pozostawił szereg publikacji, m.in. *The Children of the Cold* (1886), książkę o Eskimosach, która podobnie jak inne, doczekała się kilku wydań. W rękopisie zachowała się znaczna część prac, w tym słownik eskimosko-angielski. Miara uznania zasług Schwatki było nadanie mu członkostwa towarzystw geograficznych w Berlinie, Rzymie oraz medale rosyjskiego i francuskiego towarzystwa geograficznego.

Na przełomie XIX i XX wieku na Alasce przebywał także Konstanty Podhorski, szlachcic rodem z dalekich kresów Wołynia. Przywiodła go tu gorączka złota po jego odkryciu w roku 1898. Żądny nie tylko zdobycia cennego kruszcu, ale i ciekaw świata, odbył kilka podróży po terenach wokół Cieśniny Beringa, docierając do Czukczów i Eskimosów i zbierając przy tym przysłowiowe pamiątki z podróży. Po tej nietypowej eksploracji pozostawił po sobie jedynie w Polsce zbiór 102 rzeźb i rytów z kłów morsa, zakupionych od Eskimosów podczas jego pobytu w Nome w latach 1903–06. Są to niewielkie przedmioty o charakterze użytkowym (przetyczki do rzemieni, skrobaki, fajki, guziki), modele (łodzi i sań), ozdoby, amulety i inne. Rytym na fragmentach kłów przedstawiają m.in. sceny z polowań Eskimosów już z bronią palną i statki białych przybyszów. Kolekcja Podhorskiego, nabyta po wojnie przez warszawskie Muzeum Etnograficzne, jest przykładem rękodziela i dobrą ilustracją zmian zachodzących w kulturze myśliwych Arktyki. Płaszcz Czukczów, wykonany z rybich pęcherzy, trafiły do jednego z muzeów krakowskich (katalog kolekcji Podhorskiego, autorstwa B. Kohutnickiej, został złożony do druku).

Znacznie bardziej znane są kultury tubylcze Ameryki Łacińskiej, licznie eksplorowane w XIX wieku przez Polaków niż miało to miejsce w Kanadzie czy USA. Osiągnięcia przed-

stawicieli nauk przyrodniczych związane były z działalnością największej polskiej placówki naukowej doby zaborów, jaką był warszawski Gabinet Zoologiczny hr. Konstantego Branickiego. Jednym z nich był Konstanty Jelski, zoolog i podróżnik, który po badaniach na Krymie i w Turcji, w roku 1865 udał się do Gujany Francuskiej. Praca w szpitalu pozwalała mu na intensywne badania i zbieranie „ptaków, owadów i innych osobliwości”. Srepreparowane okazy ptaków i roślin wysyłał do Paryża i Warszawy, skąd od 1868 roku zaczął otrzymywać wsparcie finansowe ze strony hr. Branickiego. W jego penetracjach nieodłącznymi towarzyszami i pomocnikami byli Indianie, dzięki którym miał okazję przyjrzeć się bliżej obyczajom i życiu codziennemu Arawaków, Colina i Galibi. Z przyczyn zdrowotnych, w roku 1869 przeniósł się do Peru, gdzie jeszcze przez dziewięć lat kontynuował swoje badania. Po powrocie do Krakowa zostaje kustoszem zbiorów przyrodniczych Akademii Umiejętności. Prócz kolekcji ptaków i roślin, które m.in. opracował W. Taczanowski w monumentalnym dziele *Ornithologie du Perou* (1884–86), Jelski zgromadził pewną ilość obiektów etnograficznych. Zaledwie kilka sztuk pochodzących z Peru jest w posiadaniu Muzeum Etnograficznego w Krakowie: wachlarz z liści palmowych, drewno na łaskę i wabik na małpy. Własne obserwacje, także typu etnograficznego, opublikował badacz w *Popularno-przyrodniczych opowiadaniach z pobytu w Gujanie Francuskiej i po części Peru* (1898). Kontynuatorem działalności Jelskiego w Ameryce Południowej został Jan Sztolcman, który podczas licznych wędrówek po Andach i Montanii Peru i Ekwadoru (1875–84) wielokrotnie obcował z Indianami. Poświęcił im wiele miejsca w swoich *Wspomnieniach z podróży* (1912), w których zawarł wiele cennych informacji o rybakach Sechura (Yunka), rolnikach i myśliwych Montubio (Tumbez) oraz kopie niaczach i łowcach Jivaro, Aguaruna, Cashibo i Chunchos (Campa). Zapiski z podróży Sztolcmana okazały się na tyle wartościowym źródłem, że obecnie przygotowywana jest ich wersja hiszpańska, przez wydawnictwo Abya-Yala w Quito.

Niemal równolegle ze Sztolcmanem, przebywał w Peru Władysław Kluger (1874–80), inżynier dróg i mostów. Nadto żywo interesował się geografą, archeologią i etnografią tego kraju. Wyrazem tego są nie tylko relacje z ży-



Józef Siemiradzki (1858–1933) i Jan Sztolcman (1854–1928) w mieście Guayaquil (Ekwador) w 1882 roku.

cia Indian, wydane w *Listach z Peruwii i Boliwii* (1878), ale przede wszystkim duży, bo liczący 424 eksponaty, zbiór starożytności peruwiańskich, w tym trzy mumie znalezione przez samego Klugera, oraz obiekty kultury materialnej Indian andyjskich z lat 1876–78. Przekazana w darze Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, została wystawiona na Światowej wystawie w Madrycie w roku 1892 i wzbudziła duże zainteresowanie. Obecnie zbiór ten liczy zaledwie ok. 160 sztuk, m.in. bransolety z macicy perłowej, pierścienie, szpile, kamienne i miedziane siekiery, głównie i naczynia z brązu, ceramiczne naczynia antropo- i zoomorficzne o charakterze obrzędowym, pochodzące z okresu preinkaskich kultur Mo-chica, Chimu i innych. Obiekty te znajdują się obecnie w zbiorach krakowskich (Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne). Jeden z naj-

cenniejszych obiektów z kolekcji, jakim była *tsantsa* – srepreparowana przez Indian Jivaro głowa ludzka, został sprzedany jeszcze przez Klugera wiedeńskiemu Museum für Völkerkunde. Jest to pierwsza i zarazem jedyna kolekcja archeologiczna zebrana przez Polaka na Wyżu Andyjskim w muzeach krajowych.

Innym obszarem eksploracji badawczej Polaków na przełomie wieków stała się Patagonia i kraje La Platy. W pierwszym rządzie trzeba tu wymienić Józefa Siemiradzkiego, geologa, geografę i przyrodnika, który podczas trzech swoich podróży w latach 1882–83, 1891–92 i 1896–97 wielokrotnie przebywał wśród Indian. Był pierwszym polskim badaczem systematycznie i długofalowo zajmującym się kulturami tubylczymi Ameryki Południowej, dążąc przy tym do całościowego ich opracowania. Swoimi penetracjami objął niemal cały kontynent, choć na szczególną uwagę zasługują jego podróże do Araukanów chilijskich i argentyńskich, Ona i Alakaluf na Ziemi Ognistej, paragwajskich Guarani oraz brazylijskich Coroad i Botocudo. Siemiradzki zebrał różnorodny materiał, od typów budownictwa, przez broń, rzemiosło, ozdoby, po stosunki społeczne, wierzenia i języki. Pozwoliło mu to na wysunięcie tezy o azjatyckim pochodzeniu Indian i dokonaniu typologii ludów Ameryki (arktyczny, paleoamerykański, pacyficzny i azjatycki krótkogłowy). Z każdej z wypraw przywoził wiele zbiorów przyrodniczych, zwłaszcza mineralogicznych, a także etnograficznych, które przekazał muzeum warszawskiemu. W posiadaniu Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie znajduje się kolekcja zabytków pochodząca z Araukanii, Ziemi Ognistej i Gran Chaco, liczącej obecnie niecałe sto sztuk. Jest to przede wszystkim rżąd koński, broń i narzędzia, elementy strojów, instrumenty muzyczne. Obiekty przyrodnicze przechowywane są w warszawskim Muzeum i Instytucie Zoologii PAN. Siemiradzki był jednym z licznych Polaków, który swój bogaty dorobek publikował nie tylko w licznych artykułach i książkach krajowych (*Na kresach cywilizacji* –1896, *O Indianach Południowej Ameryki* –1924), ale i zagranicznych (Wiedeń, Bruksela). Ponadto jego materiały zostały wykorzystane przez innych uczonych.

Przez ten sam teren przebiegała trasa podróży naokoło świata innego przyrodnika i geografę, Hugo Zapałowicza. W roku 1889 przemierzył

on mało znane jeszcze połacie Chile i Argentyny, które przedtem spenetrował Strzelecki i Domeyko. Zapałowicz jako pierwszy z Polaków dotarł także na wyspę Juan Fernandez u wybrzeży Chile, znanej z książki Defoe'go o Robinsonie Crusoe. Efektem tej podróży były zbiory flory i fauny, mapa Patagonii z przekrojami geologicznymi oraz zapiski w dużej mierze dotyczące koczujących Tehuelczów. Swoje cenne spostrzeżenia opublikował w rocznikach wiedeńskiej Akademii Nauk (1893) i książce *Jedna z podróży naokoło świata* (1899).

Artur Mündler jest jedną z najmniej znanych postaci, które miały kontakt z tubylcami. Jego pamiętnik ponoć został opublikowany w Niemczech, z kolei z pozostałych materiałów, m.in. kilkunastu obiektów etnograficznych ze zbiorów MEK wynika, iż jako oficer na pokładzie okrętu wojennego CK Austrii brał udział w wyprawie do Brazylii i krajów La Platy w latach 1884–85. Zbiory te prawdopodobnie są wytworami kultury Araukanów (kolczyki, maczuga), Yaghan (model łodzi z kory) i Guarani (zestaw naczyń do picia mate, strzały, tykwy).

Nieco więcej wiadomo o działalności polskiego geologa Józefa Jackowskiego, który w latach 1886–1915 przebywał w Boliwii pracując w górnictwie srebra. Niemal stały kontakt z Indianami Keczua pracującymi w podziemnych kopalniach pozwalał na bliższe poznanie ich folkloru i obyczajów. Był jednym z nielicznych Europejczyków interesujących się tą sferą kultury autochtonów. Wiele z tych pieśni, a także obserwacje z życia codziennego zawarł Jackowski w swoich *Wyjątkach z listów z Boliwii* (1890–91). Poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk ofiarował opublikowaną mapę topograficzną pd-zach. Boliwii oraz ogromną kolekcję minerałów z tych terenów. Był to pierwszy znany w Europie udokumentowany zbiór z boliwijskiego Altiplano, o którego odkupienie zabiegało nawet londyńskie British Museum. Niestety, z niewielkiej spuścizny Jackowskiego do naszych czasów dotrwały tylko owe *Listy*.

Polskie penetracje folkloru andyjskiego prowadził na marginesie swoich badań archeologicznych także Artur Poznański, o czym pisał w jednym ze swych artykułów (1918). Zasłynął on głównie jako znawca cywilizacji Inków, choć prowadził także wykopaliska w Brazylii, Kolumbii, Meksyku i Wenezeli.

Do grona polskich przyrodników mających w swym dorobku także materiały etnograficz-

ne należy Julian German Kozłowski, działający w latach 1888–1923 na obszarze Argentyny, Paragwaju, Chile i Brazylii. Jako pracownik muzeów wielokrotnie brał udział w ekspedycjach, dokonując też penetracji samodzielnych. Zaowocowało to sporą ilością publikacji, m.in. artykułami poświęconymi Indianom Bororo (1895), Guato (1895), Tehuelczom, a także bogatą kolekcją ornitologiczną nabytą przez W. Rotschilda i przekazaną w 1933 do Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku jako „Kolekcja J. Kozłowskiego”.

Inny Kozłowski, Władysław Mieczysław, w swoim dorobku filozofa, historyka i przyrodnika, posiada też kilka artykułów dotyczących Indian północnoamerykańskich, opublikowanych na łamach „Głosu” (1897) i „Życia” (1897). Powstały one w latach jego bytności w USA, gdzie pracował jako lektor w skupiskach polonijnych.

Południowe stany Brazylii były terenem badań ornitologicznych Tadeusza Chrostowskiego. W czasie swoich pobytów w latach 1910–23 zgromadził kolekcję ptaków, które trafiły, prócz Muzeum Branickich w Warszawie, także do wielu placówek muzealnych Europy i Ameryki. Pozostałe zapiski, wydane w 1922 roku, są interesującym źródłem wiedzy o mało znanych grupach Caingang znad rzeki Iguassu-Ivai oraz Indianach Guarani.

Witold Szyszło, przyrodnik i podróżnik, blisko pół wieku (1915–63) poświęcił na badania flory i fauny Ameryki Łacińskiej, a w szczególności Amazonii. Podróżując wiele czasu spędził u Indian, np. u Zapoteków, których opisał w swej książce *Meksyk* (1912). Należał do tych nielicznych osób, które biegle władały językiem Indian Keczua i Guarani. Dziełem jego życia jest potężna monografia *La Natureza en America Ecuatorial* (1955), jedna z podstawowych publikacji w literaturze światowej.

Kontakty polsko-indiańskie nie zawsze były odbiciem jednostronnej czy wzajemnej sympatii. Dotyczy to w zasadzie okresu największego napływu Polaków do Brazylii na przełomie XIX i XX wieku. Przyznawane kolonistom działki w głębi interioru najczęściej stanowiły ziemie użytkowane przez Indian Botocudo. Karczujący puszcze przybysze często niszyli w swej nieświadomości miejsca pochówku zmarłych, co było przyczyną morderych walk. W obronie „swojego” terytorium ginęły setki Indian i osadników. Kilka-naście lat nieustannie trwające zatargi za-

kończyły się osadzeniem tubylców w razer-watach (1903) – odtąd stosunki kolonistów z Botokudami i sąsiednimi Coroado i Caingang zaczęły się normalizować. Ten nieco wstydliwie pomijany problem pierwszy zasygnalizował działacz emigracyjny Stanisław Kłobukowski, wydając książkę *Wycieczka do Parany* (1909). Powstała ona po wizytacji skupisk polonijnych przeprowadzonej przez autora w latach 1895–98. Podobnie uczynił to Jerzy Ostrowski, pisarz i dyplomata, przebywający w Brazylii w latach 20-tych, w opublikowanej *Ziemi Świętego Krzyża* (1929) i *Brazylii* (1933).

Największa polska kolekcja amerykanistyczna okresu międzywojennego została pozyskana przez ówczesne Muzeum Miejskie (obecne Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne) w Łodzi, m.in. dzięki nieudanemu w efekcie końcowym eksperymentowi polskiej kolonizacji Montanii peruwiańskiej. Na przyznanym przez rząd Peru, liczącym 1,5 mln ha obszarze lasu tropikalnego w dorzeczu Ucayali i Tambo miano osiedlić kolejne rzesze emigrantów z nad Wisły. Możliwości realizacji tego pomysłu negatywnie oceniła rządowa ekspedycja działająca tam w roku 1928. Efektem ubocznym tej misji było powstanie nie tylko szeregu artykułów i książek zawierających opisy o charakterze etnograficznym, których autorami byli jej członkowie: pisarz i podróżnik Mieczysław Lepecki, działacz emigracyjny Kazimierz Warchałowski, lekarz Aleksander Freydz, ale przede wszystkim zebranie kolekcji muzealnej, zgromadzonej przez dwóch ostatnich autorów oraz lekarza Zdzisława Szymońskiego (opracowanie jego listów, autorstwa A. Styczyńskiej, zostało złożone do druku w 1995 roku) w latach 1928–1936. Pozostało z niej zaledwie 138 obiektów, pochodzących z kultur tubylczych Montanii: Piro, Campa, Shipibo, Cashibo, Chama i Yagua. Tworzą one zwarte zespoły, takie jak narzędzia i broń, naczynia, tkaniny i strój, plecionki, ozdoby, instrumenty muzyczne czy pojedyncze, niezwykle rzadko występujące przedmioty, np. nóż do pojedynków czy przyrząd do deformacji główek niemowląt. Inny uczestnik tejże ekspedycji, Władysław Orda, pozyskał dwa interesujące obiekty, jakimi są *tsantsas*, spreparowane przez Indian Jivaro głowy ludzkie. Wraz z trzecim egzemplarzem, zakupionym przez Stanisława Jamkę w 1934 roku od Indian Aguarunas (Jivaro po stronie peruwiańskiej), trafiły do warszawskiego Muzeum Etnograficznego.

Trzecim administratorem polskiej kolonii Cepa w Montanii w latach 1929–31 był Michał Giejsztor, inżynier górnik. Również i on dokonał cennych obserwacji etnograficznych plemion tego terenu, które spisał w *Pamiętnikach* (1932) jak i zgromadził obiekty etnograficzne liczące ponad 40 sztuk – broń, ozdoby, sprzęty, które po wojnie zasiły zasoby Poznańskiego Muzeum Etnograficznego.

Jednym z kolonistów, którzy pomimo fiaszka całego przedsięwzięcia pozostali w Peru, był Feliks Wojtkowski, entomolog i botanik. W latach 1929–64 odbył kilkadziesiąt wypraw przyrodniczych w Andy i do Montanii. Zebrane okazy, często odkrytych przez siebie owadów i roślin trafiały do największych muzeów i ogrodów botanicznych Europy i Ameryki. W pozyskiwaniu wielu leczniczych roślin dla szwajcarskiego concernu farmaceutycznego CIBA bardzo pomocni byli Indianie Lamisto, Campa i Aguaruna, którym Wojtkowski poświęcił sporą część swoich notatek, opracowanych po jego powrocie do Polski przez S. Wielopolską (1974).

Niezwykłe różnorodny materiał etnograficzny zebrął podczas swoich sześciu podróży po całej Ameryce Południowej w latach 1923–62 Mieczysław Lepecki. Własne obserwacje Indian Gran Chaco (Guarani, Guayaki, Caingang, Toba, Lengua, Matabo), Montanii (Chama, Cashibo, Shipibo, Campa, Piro), Ziemi Ognistej (Ona, Alakaluf), Araukanów z Chile i Tehuelczów z Patagonii, uzupełnione relacjami innych badaczy, wydał drukiem.

Książka *Nie zabijaj Indianina, czyli rzecz o dwóch kulturach* (1974) jest wynikiem bezpośredniego poznania Indian Coroado, Guarani, Botocudo i Caingang innego działacza polonijnego, literata i dziennikarza, Władysława Wójcika, przebywającego w Brazylii w latach 1923–61. Opracowanie to, wykorzystujące publikacje specjalistyczne, jest jedną z pierwszych polskich prac popularno-naukowych przedstawiającą w zarysie problem kontaktów tubylców z białymi na przykładzie Brazylii, uwzględniając relacje polsko-indiańskie. □

Janusz Jaskulski

Pierwszą część eseju „Polskie opisanie świata”, towarzyszącego wystawie w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu, zamieściliśmy w numerze 4 (32), zima 1995. Dokończenie w numerze następnym.



## •le się dzieje...

Opinia na temat problemów naszych dzieci – jasne, potrzebujemy surowszych praw, więcej policji, specjalistów do spraw nieletnich, więcej aresztów i więzień. Musimy jednak przyznać, że źle się dzieje – i to bardzo – w naszej kulturze, w tubylczej kulturze Czarnych Stóp. Odkąd nasi młodzi ludzie nie zważają, czyli nie okazują szacunku dla ludzkiego życia, nawet nie próbują zrozumieć różnicy pomiędzy dobrem a złem.

Zgodnie z naszą wiedzą psychologiczną, dzieci potrafią odróżniać dobro od zła w wieku 7-8 lat. Siedemdziesiąt procent młodych ludzi, którzy popełniają przestępstwa z zastosowaniem przemocy, pochodzi z rodzin niepełnych lub z tawern czy barów. Wielu młodych ludzi nawet nie musi się wyrzekać przywiązania do materialnych czy moralnych wartości. Ojcowie gdzieś przepadają, są w separacji lub rozwodzą się, albo po prostu nie chcą brać odpowiedzialności za wychowawa-

nie swych dzieci. Matki spędzają coraz mniej czasu ze swoimi dziećmi – pracują, bywają w towarzystwie i robią karierę.

Trzydzieści trzy procent amerykańskich dzieci rodzą obecnie samotne matki. Pięćdziesiąt procent naszych dzieci spędzi część swego dzieciństwa bez kontaktu z ojcem. Siedemdziesiąt procent matek pracuje po- za domem. Nie mają siły do zapewnienia stałej dyscypliny i moralnej edukacji, której dzieci potrzebują, a co najważniejsze – dostatecznej miłości.

Szkoły już nie uczą co dobre, a co złe. Od wielu lat intelektualiści twierdzą, że absolutnie nie istnieje, że wszystko jest względne, dyktowane przez okoliczności. Jednym słowem, możemy sobie na dużo pozwolić.

Kiedy jako rodzice, nauczyciele i przedstawiciele rządu zaniedbamy przekazania zasad etycznych, jakie nam wpajano, nasze dzieci staną się tym, czym są teraz.

James W. St. Goddard  
Browning

tłumaczył MOKASYN

Powyższe słowa ukazały się w „Glacier Reporter”, jedynej gazecie w rezerwacie Czarnych Stóp w Montanie. Tym razem nie ja to napisałem. Napisała to osoba z rezerwatu Blackfeet. Nie znam osobiście autora tego listu, ale osobiście odczuwam te problemy, odkąd mieszkam w centrum miasta. List ten jest krótki, lecz całkowicie oddaje obraz „chleba codziennego”, nie tylko w tym rezerwacie.

W czerwcu br. będzie 4 lata jak tu zamieszkuje. Pierwsze dwa miesiące byłem jak we śnie: oczarowany górami, ludźmi, prerią i życiem na ranchu. Później? Pisałem Wam na bieżąco i nadal będę pisał. Ten artykuł jest

pierwszym z cyklu „Zapiski z rezerwatu”. Będę się starał szukać prawdy, a nie opisywać te rzeczy, które ja chcę widzieć; to ważna różnica.

Wracając do listu, ludzie nie wiedzą, co robić. Jedną z ulubionych „zabaw” jest strzelanie do psów preriowych, które stają „ślupkiem”. Czy Ty byś zabił dla zabawy? Być może. Przecież z komputera można się dowiedzieć, jak wykonać bombę domowym sposobem, aby potem podłożyć ją np. pod szpital (co ostatnio zdarzyło się w Great Falls). Inną „zabawą” jest cięcie opon w samochodach oraz wybijanie szyb (mojemu kumplowi ze sklepu pocięto wszystkie cztery opony tuż przed zamknięciem

sklepu o 10 wieczorem, a na ostatnim *powow* w naszym pick-upie wybito szybę).

Jeśli nie ma miłości, to czego mogą oczekiwać? Nie ma czasu na miłość. Jest czas na odbiór czeku; w każdą środę o 11 rano przychodzą pieniądze z banku, a o 2 po południu prawie wszyscy pracownicy w sklepie już pobrali pieniądze – punktualnie i szybko. W inne dni natomiast, po sprawdzeniu kart zegarowych, okazuje się, że nikt (!) nie przychodzi do pracy na czas, jak ma wyznaczone w planie, spóźniają się wszyscy, codziennie. Dyscyplina jest tylko w konieczności.

Sale bingo są totalnie wypełnione przez mamy, ciotki, dziadków; czas i pieniądze, jakie się tam traci, powinny być przeznaczone na rodzinę (dzieci).

Rodzina. W Polsce pojęcie to kojarzy mi się ze spotkaniem wielu osób z okazji np. wesela, urodzin czy pogrzebu. Rodzina to mama, ojciec, brat, siostra itd. W plemieniu Czarnych Stóp pojęcie to jest bardziej skomplikowane: ojciec zginął w wypadku samochodowym, matka straciła wzrok od alkoholu albo jest na odwyku, dzieci są pod opieką u innych ludzi. Nic nie jest prostej linii. Ktoś jest wychowywany przez kogoś. Często jest to tzw. foster parent. Mój współpracownik jest właśnie takim rodzicem. George przez wiele lat opiekował się z żoną dwudziestoma dziećmi (jak do tej pory) w wieku 4–12 lat. George jest biały, jego żona – Indianką. Moja żona była wychowywana w wielu domach u różnych ludzi; rozproszone korzenie. W Pine Ridge (Oglała) widziałem wiele zaniedbanych dzieci. Gdzie rodzice? I to się zwie indiańska rodzina. Rodzice jeżdżą samochodami, w bezsensownych podróżach za niczym, ścigając ciemność uliczek w Browning. Taki „raj” trwa od piątku do niedzieli, kto jest trzeźwy?

Indiańska dziewczyna ma pierwsze dziecko w wieku czternastu lat. Gdy ma lat 21, jest i pięcioro. „Toys” – zabawki, tym terminem opatrzyliśmy (ja i •ródełko) dzieciaki z samotną matką. Jeśli nie ma miłości, to czy ja (gdybym bym kobietą) miałbym dzieci z kimś, kogo nie kocham? Nie ma nic gorszego jak niechciane dziecko, bo ono cierpi najwięcej.

Jeśli dziś się mówi o indiańskich czarach i magii, to prócz różnych ceremonii, odczytuje

to np. we włamaniu do sklepu (jedyne Ben Franklin Store, przy jedynej głównej ulicy, gdzie jest ruch samochodów dzień i noc na drodze ku Kanadzie), gdzie nikt nic nie widział.

Sto lat temu pozdrowienie w języku Czarnych Stóp brzmiało – *Okii Ni-skan*, co znaczy – „cześć młody bracie”. Zwrot ten stosowano do młodej, jak i starszej wiekiem osoby. Dziwne? A czy Ty byś skrzywdził swego młodszego brata? Dziś starszy brat jest krzywdzony przez młodego – ojcowie padają ofiarą swych dzieci. Po słowie *ni-skan* pozostał tylko romantyzm, bardzo mało praktyczny.

Wiem, że to przerażające, co piszę, ale widuję to na codzień, rzeczywistość w świecie fruujących orłów i... karetek.

28 kwietnia 1996

## Ciepłe aspekty mroźnej zimy

*hu-hu-ha, hu-hu-ha  
nasza zima zła,  
szczypie w nosy, szczypie w uszy  
mroźnym śniegiem w oczy pruszy...*

Piosenkę tę wpajano mi w szkole podstawowej. Slogan zimy zawsze był pełen swej mroźnej mocy – objawiał strach i obawę: długie noce, ciemne świty, krótkie dni. Zawsze, jak większość, wypatrywałem wiosny.

Dziś czuję to inaczej.

Piszę te słowa, gdy w Montanie -30(C, a północną część USA zamiotły rekordowe mrozy.

Dziś chciałbym napisać o kochanej zimie. Żeby dać Wam zrozumieć, co mam na myśli, posłużę się tutaj przykładem lata.

Lato. Typowy skwar, że powietrze aż burczy od owadów. Wlewamy wtedy w siebie niezliczone ilości napojów i lodów. Pragnienie niezaspokojone. Szukamy cienia, ochłody. Potrzeba nam klimatyzacji (*air-conditioning*), gorąco prowadzi nas do szału, otepienia.

Zima. Powietrze jest ciche, spokojne (gdy nie wieje wiatr), a przy niskich temperaturach można zauważyć w nocy coś przepięknego o nazwie „śnieżny pies”. Naprawdę nie wiem skąd owa nazwa, lecz czytałem o tym w tutej-



szej gazecie. któregoś wieczoru (przed Wigilią) wracaliśmy (ja i •ródło) z Heart Butte do Browning. Wieś w dolinie pagórkowatej prerii wyglądała nadzwyczaj czarująco. Domy i płoty przyozdobiono kolorowymi lampkami i od tych wszystkich kolorowych światełek, światło wysyłane było ku górze. Powietrze było pełne mroźnych kryształków (Śnieg nie padał), które odbijały światło jak lustro w kawałkach, unoszące się w powietrzu, przekazując światło pionowo ku górze, na wysokość ok. 20 metrów. To właśnie jest „śnieżny pies”.

I w dzień Browning wygląda też miło. Niestety, latem przypomina śmietnik.

Zimą bakterie pokornieją, tak samo jak człowiek. W Browning jest mniej aktów gwałtu i ciepła szuka się w domu. Latem jest odwrotnie. W domu się nie da wysiedzieć i trzeba „coś zrobić”. Miasto Los Angeles jest tego przykładem.

Jest to dziwne, że wszystkie węże, skorpiony, krokodyle i inne jadowite i kąśliwe stworzenia nie egzystują w zimie. W Montanie zima nie ma niedźwiedzi, komarów, rysi i grzechotników, latem jest ich mnóstwo.

Polska zima zawsze sprowadzała wilgoć, choroby i problemy (komunikacja) – taką ja pamiętam.

Tutaj często śnieg leży do maja.

Zima to cała gama zabaw, np. chodzenie w karplach, łowienie ryb z przerębla (nigdy nie złapałem), skutery śnieżne (*snow-mobiles*), narty, łyżwy oraz zmieniające się krajobrazy, np. po blizzardzie tworzą się „wydmy” (*snow-drifts*). Mrozu nie można widzieć, lecz odczuwa się jego obecność w zapachu, w delikatnym subtelnym zapachu. Szczególnie się to zauważa, gdy osoba wchodzi z dworu do domu. Mróz maluje, graweruje ryciny na szybach, od rysunku gwiazdek po liście. Mróz rzeźbi geometryczne ośmiokątne słupki – czyste jak kryształ. Nad brzegami zamrożonych jezior można zauważyć delikatnie cienkie liście. Są to lodowe plasterki, utworzone z wiatru. Rysunki liści i kształt kryształków widziałem w rozmiarach 4 cm. To czysty cud, którego nie można zabrać ze sobą do domu na pamiątkę. Latem zbieramy korzenie, korę, mech, kamienie i zabieramy je do domu. (Ostatniej jesieni, wszystkie kamienie, które zbierałem przez kil-



ka ostatnich lat, zawiozłem z powrotem w góry.)

Kiedyś byłem na Gwiazdkę w San Francisco, było nudno bez śladu śniegu. A czy mit Gwiazdora sprawdziłby się latem? Jego sanie by ugrzęzły w piasku. A czy latem otrzymujemy prezenty pod choinką?

Czy zimą zginął ktoś od burzy z piorunami lub w powodzi? National Weather Service [Instytut Meteorologii] podaje, że w Ameryce co roku ginie 31 osób w huraganach, 87 w tornadach, 94 ginie od pioruna, 151 zabiera powódź, a 200 ludzi umiera od... gorąca. W raporcie nie było danych, ile dusz pochłania zima, lecz na pewno stosunkowo mniej niż *heat & flood*.

Zimą bardziej doceniamy ciepło ogniska niż latem. Zima czyni nas silniejszymi i odporniejszymi – cieleśnie i duchowo.

Latem w Ameryce wszyscy stosują *coolery* (plastyczne skrzynki z lodem), w których przechowuje się żywność i napoje. Zastępuje nam domowa lodówka, gdy jesteśmy w podróży, na wakacjach. Pytanie: jak długo jest świeże mięso bez lodówki? Spójrzmy w końcu na siebie. (Przebaczenie wegetarianie). Czy skaleczeni krwawimy sokiem?

Zima tworzy balans w przyrodzie.

12 marca 1996

Cichy Mokasy  
Browning, Montana  
Blackfeet Indian Reservation

ZRÓB TO SAM

## Rzut strzałą

Indianie Wrony często grają w coś, co przypomina nieco grę w rzut podkową. Jeden z graczy rzuca specjalnie oznakowaną strzałę najdalej jak potrafi. Pozostali zawodnicy starają się rzucić swoimi strzałami możliwie blisko tej pierwszej. Wygrywa ten, kto dorzuci najbliższej i wtedy on rzuca oznakowaną strzałę, a pozostali rzucają od nowa. Każdy z graczy dysponuje dwoma strzałami do rzucania.

Dla ponad siedmiu tysięcy Indian żyjących w rezerwacie Wron na południu Montany rzucanie strzałą znaczy więcej niż zwykłe ćwiczenia fizyczne. Gra powstała na początku tego stulecia i jest zarówno sportem, jak i ważnym rytuałem. Starcy Wron uczą dzieci jak zrobić takie strzały i wyjaśniają jej znaczenie w kulturze. Przy okazji przekazują wiedzę o klanie i o starych czasach, gdy mężczyźni używali jeszcze łuków i strzał do polowania na Wielkich Równinach. Gdy strzała jest już ukończona,

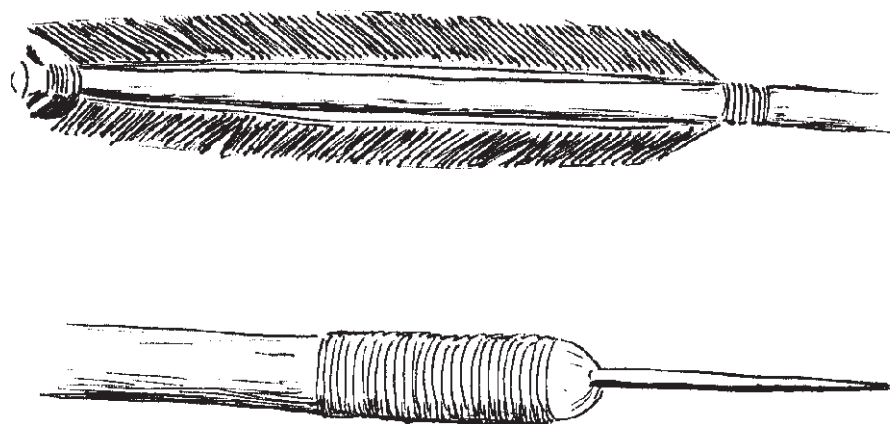
błogosławi się ją w ceremonii, a jej młodemu twórcy każe się przynieść sławę swemu klanowi przez opanowanie sztuki rzutu.

Aby zrobić taką strzałę należy wybrać dwa proste patyki z młodego drzewa, mierzące około 120 cm. Indianie wykonują je z dzikiej wiśni, ale równie dobrze można je zrobić z gałęzi wierzby. Ściąć grubszy koniec gałęzi do grubości około 1 cm, oczyścić i wysuszyć przez około tydzień.

Na cieńszym końcu przywiązuje się trzy długie pióra (12-17 cm), jak pokazano na rysunku. Nie potrzeba żadnego kleju. Pióra muszą być jednak mocno przywiązane. W grubym końcu strzały wywiercić otwór głęboki na około 10 cm, włożyć kawałek zaostrego drutu i obwiązać to wszystko mocnym sznurkiem.

Setki Indian Wron zbierają się na corocznych zawodach, gdzie zawodnicy celują w kierunku mniejszej strzały. Punkty nalicza się za odległość między mniejszą strzałą, a dużymi strzałami miotanymi przez graczy. Zdarza się nawet, że duże strzały muskają pióra tej mniejszej, a nawet je rozszczeplają.

Opracowali  
Piotr Pietrzak  
i Niedźwiadek



## Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregońskim Szlaku 1859–1863 (2)

Niezadowolone Indian z osadników Utah i w ogóle ze wszystkich białych sięgnęło szczytu z nastaniem 1862 roku i brakowało tylko najmniejszej iskry, by górskie doliny znów stanęły w ogniu. Tą iskrą była wieść przyniesiona z Montany o odkryciu złota w sąsiedztwie Beaverhead. Górnicy i poszukiwacze kruszców, gotowi na wszystko, by zdobyć fortunę, szerokim strumieniem napłynęli na ostatnie łowiiska Szoszonów – w dolinę górnej Rzeki Wężowej, otoczonej od wschodu rzeką Yellowstone i majestatycznymi Tetonami, a od wschodu dopływami Rzeki Łososiowej.

Salt Lake City i osiedla północnego Utah stały się bazą zaopatrzeniową górników, gdy porzucili Oregoński czy Kalifornijski Szlak dla północnej włóczęgi. Obrotni mormońscy farmerzy włączyli się w to szaleństwo, opróżniając sakiwki poszukiwaczy złota, potrzebujących świeżych jarzyn, nabiału i mięsa. Zarówno mormoni, jak i górnicy podróżowali nową drogą w małych grupach, a nie karawanami, kusząc tym niezadowolonych i głodnych tubylców. Już 28 maja 1862 roku do Salt Lake City dotarła wiadomość o śmierci ośmiu spośród czternastoosobowej grupy wracającej znad Rzeki Łososiowej.

Zagrzani wolą walki i porzuciwszy wszelkie skrupuły Szoszoni i Bannokowie rzucili się do rabunku stad koni i bydła od fortu Bridgera na południu po fort Owen na północy, szczególnie uwagę poświęcając mormońskim osiedlom na północ od Jeziora Słonego, gdzie straciły na znaczeniu zalecenia Brigham Younga, że lepiej żywić Indian niż ich zwalczać. Obawiając się dalszych podróży na północ, wyprawy górników zatrzymały się w czerwcu zaraz za

fortem Hall. Jednocześnie nadeszła wieść, że wielki pokojowy wódz Szoszonów, Washakie musiał ustąpić wodzowi Bannoków, „krwiożerczemu” Pashego, który stanął na czele niezadowolonych. Wojownicy obydwu plemion ukryli rodziny w bezpiecznych okolicach Rzeki Łososiowej i „kiedy pożółkną liście i zaczną opadać... uderzą i wybiją wszystkich osadników na Terytorium”.

Furia z jaką dokonano najazdów w czerwcu 1862 roku świadczy, że Bannokowie i Szoszoni nie czekali na jesień. Ledwo się obroniła grupa prowadzona przez Smitha i Kinkaida wracająca z Kalifornii na wschód. Trafiony strzałą w plecy Smith „doniósł ją w sobie” aż do jakiegoś osiedla nad Rzeką Niedźwiedzią. Koło Sodowych •ródeł Szoszoni wciągnęli w zasadzkę trzy wozy emigrantów i wycięli ich do nogi. W lipcu zaatakowano kilka karawan i wielu ludzi straciło życie. James Doty z indiańskiego inspektoratu Utah tak podsumował swe sprawozdanie z połowy lata:

*Pewien mężczyzna wracający znad Rzeki Łososiowej opowiedział mi, że u zbiegu dróg wiodących do Kalifornii i nad Stone Jezioro widział na poboczu dwa wozy, a koło nich trupy trzech białych ludzi. Nie ulega wątpliwości, że popełniono o wiele więcej morderstw, o których się nigdy nie dowiemy.*

Nawet starzy ludzie gór, długoletni przyjaciele Indian nie czuli się bezpiecznie, gdy dwa tysiące Indian (jak obliczał Doty) wyruszyło na pograniczne osiedla. Jeden z nich, Jack Robinson, mieszkający blisko sześć mil od fortu Bridgera stracił nocą 19 lipca ponad dwieście koni i mułów. Złożony z sześćdziesięciu dwóch ludzi pościg nie dopędził rabusiów.

Indiańska wściekłość zdała się rosnać wraz z temperaturą, gorące dni sierpnia i września przyniosły tyle napadów, że zdesperowany wydawca „Deseret News” oświadczył, iż *ostatnie kilka miesięcy były świadkiem jak czerwonoskórzy, a szczególnie Węże i Bannokowie, na zawsze zerwali z resztą rodzaju ludzkiego*. Emigrantów na Oregońskim Szlaku witały ogłoszenia podpisane przez komisarza do spraw Indian:

Do wiadomości publicznej

Po otrzymaniu zasługujących na wiarę informacji poczytuję sobie za obowiązek ostrzec wszystkie osoby zamierzające tej jesieni udać się przez Równiny do Utah lub na wybrzeże Pacyfiku, że mogą się spodziewać ataków ze strony Bannoków i Szoszonów, czyli Wężów, podobnie jak ze strony Indian z Równin i znad Platte.

Wspomniani Indianie dopuścili się ubiegłego lata szeregu morderstw i grabieży. Są oni liczni, silni, wojowniczy i jeśli zachowują się wrogo, żadna droga poprzez Równiny nie będzie bezpieczna. Stąd powyższe ostrzeżenie.

Doniesienia o najazdach w tych miesiącach to monotonna lektura, w której wielokrotnie powtarzają się słowa: zasadzka, krótkie zacięcie starcie, obrabowane i spalone wozy, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy zabici i okropnie pokaleczeni. 8 lipca: zaatakowana grupa sześciu mężczyzn jadących dwoma wozami – czterech zabitych. 9 lipca: okolica fortu Hall – pięciu emigrantów zabitych a kilku innych rannych, *leżące wokół podziurawione kulami konie i krowy, co wskazuje na to, że dopuszczono się innych grabieży*. 9 lipca: napadnięto dwunastu mulników, rannych pięciu i utracone dwanaście zwierząt jucznych. Znowu 9 lipca, istny sądny dzień grozy i krwi – koło Skał Masakry, poniżej Amerykańskich Wodospadów na Rzece Wężowej ponad dwustu Indian uderzyło na karawanę jedenastu wozów, zabijając prawie wszystkich podróżnych. Inni emigranci na Szlaku zaczęli się łączyć dla wspólnej obrony, aż powstała kawalkada dwustu wozów z ponad siedmiuset pasażerami. Rankiem, po ataku przy Skałach Masakry, czterdziestu znakomicie uzbrojonych mężczyzn wyruszyło odzyskać zagarnięte wozy, lecz po spotkaniu trzystu równie dobrze uzbrojonych Indian, szybko wróciło ze stratą trzech zabitych i kilku ran-

nych. Kierujący się do Kalifornii emigranci wdzili u zbiegu szlaków Oregońskiego i Kalifornijskiego *szczątki kilku karawan zniszczonych przez barbarzyńskich nieprzyjaciół, którzy później napadli ich kilka razy*.

„Deseret News” głosiły, że biorąc *niezbędną poprawkę na wszelkie pomyłki czy przesadne dane, możemy powiedzieć, że bardzo dużo osób zginęło z rąk Indian o tej porze roku na Drodze Sublette’a*. 26 sierpnia pionierzy z Iowa odparli atak wojowników, lecz stracili wszystkie konie i muły, jedenaście z dwunastu wozów, a podczas drugiej bitwy stoczonej przed zachodem słońca zginęło czterech spośród nich. Niedobitki schroniły się w osiedlach nad Rzeką Niedźwiedzią koło Brigham City donosząc, że *emigranci, przewoźnicy i ludzie gór całkowicie porzucili Szlak, gdyż boją się dłużej zostać w okolicy*. Skały Masakry były zdaje się ulubionym terenem jednej z grup wojowników. Ruszyła ona w pościg za piętnastką pionierów wracających z Kalifornii. Wywiązała się walka pościgowa, trwająca cały dzień na odcinku dwudziestu mil. Toczących ją czterestu Indian zarzuciło stosowaną dawniej partyzancką taktykę ścigając swe ofiary nieustępliwie aż do nocy. Biali stracili sześciu ludzi i większość koni. Ci co ocalili po pięciu dniach głodówki, dotarli do osiedli w Dolinie Jesionoklonu, gdzie opowiedzieli, że podczas pościgu *jakiś Indianin pędził ze wspartą nową, łopoczącą na wietrze, amerykańską flagą, ale dlaczego żaden ze ściganych nie zatrzymał się, żeby zapytać*.

Całkowicie bezsilni w próbach ułagodzenia swych rozwścieczonych podopiecznych różni indiańscy agenci mogli tylko pisać długie żalonne listy do swych zwierzchników, prosząc o pieniądze, za które nabyliby towary, dzięki czemu wraz z nastaniem zimy zaistniałaby możliwość porozmawiania z Indianami o zaprzestaniu wojny. Piszący z San Francisco specjalny agent, Henry Martin prosił o pięć tysięcy dolarów w celu zawarcia układu z Szoszonami, gdyż za te pieniądze chciał kupić koce i inne artykuły. Agent Luther Mann oskarżył Szoszonów i Bannoków o „najbrutalniejsze morderstwa, jakie popełniono na tym kontynencie”, zaś „Deseret News” uznały, że *Indianie nie boją się już nikogo i niczego*. Jednak San Francisco i Salt Lake City leżały za dale



ko od stolicy kraju, gdzie rząd zajmował się właśnie osądzaniem generała zwanego George McClellan za niewykorzystanie częściowego zwycięstwa pod miejscowością zwaną Antietam. Trzeba było jeszcze roku nim biurokraci przygotowali grunt pod pierwszy z traktatów, które pozwołyły Szoszonom i Bannokom ostatecznie zamieszkać w ich różnych rezerwachach.

Podczas szalejącej pełnym płomieniem wojny 1862 roku leżące najdalej na północ osiedla mormońskie raz służyły za schronienie nękanym emigrantom, zaś innym razem były celem ataków dawnych przyjaciół – „Lamanitów”<sup>1</sup>. Gdy z nadejściem zimy ustał wszelki ruch na wędrownych szlakach, wzbogaceni łupami i upojeni zwycięstwem Bannokowie i Szoszoni ruszyli na jedyne miejsce dające im sposobność do „zaliczenia uderzenia” – na wioski północnego Utah. Wcześniej jeszcze „Deseret News” powiadamiały, że Indianie w sąsiedztwie Ukrytej Doliny *zachowują się coraz groźniej, dopuścili się kilku napadów i grożą dalszymi. Podobno bardzo życzą sobie wołowni, którą zdobędą jeśli nie tym, to innym sposobem*.

Strzelali do ludzi pracujących w polu i ściągali od mormonów wysoki okup w mące i innych towarach.

Pierwszy poważny atak na osiedla w Ukrytej Dolinie nastąpił 27 września, kiedy kilku Szoszonów i Bannoków uprowadziło blisko czterdzieści koni. Osadnicy w sile trzydziestu ludzi szli tropem aż do zmierzchu, lecz odzyskali tylko kilka zwierząt. Wydawca „Deseret News” tak podsumował to niepowodzenie: *Prawdę mówiąc, nie odnotowaliśmy w ostatnich dziesięciu latach ani jednego przypadku, by pościg za Indianami w takich okolicznościach zakończył się sukcesem*. Trzy dni wcześniej mieszkańcy Doliny Jesionoklonu stracili dwadzieścia koni, chyba z rąk tych samych wojowników. Słychać też było o licznych gromadzeniu się Indian koło Niedźwiedziego Jeziora: *rozjuszonych i zdecydowanych wyrządzić jak najwięcej zła białej rasie*.

1. Lamanici to według Księgi Mormońskiej potomkowie Lamana, buntowniczego syna żydowskiego proroka Lehi przybyłego do Ameryki około 589 roku przed Chrystusem, którzy z czasem stali się amerykańskimi Indianami.

Szoszoni i Bannokowie mogli sobie pozwolić na taką postawę w 1862 roku o wiele łatwiej niż kiedykolwiek przedtem, gdyż większość wojsk federalnych skierowano na wschodnie wybrzeże i na front wojny domowej. Plemiona od lat darzyły „czarne kurtki” należnym szacunkiem, więc nagle pusta, powstała po ich odejściu sprawiła, że pozbyły się tego lęku, o jaki przyprowadził ich masowy napływ emigrantów w latach pięćdziesiątych. Aby zapłacić tę pustkę rząd upoważnił gubernatora Kalifornii do wystawienia kilku pułków ochotników do pilnowania tras Poczty Lądowej (Overland Mail) i trzymania pod obserwacją mormonów w Utah. Dowódcą Kalifornijskich Ochotników w stopniu pułkownika został Patrick E. Connor, który od razu wyruszył 12 lipca 1862 roku do Salt Lake City, aby założyć tam garnizon. Podejrzliwie i spoglądając „Deseret News” pisały: *Na Indian oczywiście padnie błdy strach, a koniokradów, szulerów i inne męty społeczne nieodparcie przyciągnie do szeregów ta gigantyczna demonstracja*.

Chyba tylko marsz z Kalifornii przez pustynie Newady był tą „gigantyczną demonstracją”, lecz pewne wydarzenie dało ochotnikom sposobność popisania się żołnierskim męstwem. W miejscowości zwanej Gravelly Ford nad rzeką Humboldt wyprawa emigrantów znalazła dwanaście zmasakrowanych ciał wrzuczonych do wody. Na wieść o tym „Territorial Enterprise” stwierdziła, że *najwyższy czas, by udzielić dzikim surowej lekcji i przedkładała wszczęcie kampanii zimą, najodpowiedniejszą porą, kiedy chłopcy plk Connora... mogliby wyładować na Indianach przepelniając ich wolę walki*.

Nie czekając na nią osiemdziesięciu ochotników pod majorem Edwardem McGarrym wyruszyło do Gravelly Ford, by ująć i ukarać morderców. 9 października McGarry doniósł, że kilku jego ludzi „zwabiło do obozu trzech Indian”, których uwięził po odebraniu im broni. Śmiertelnie przażeni czerwonoskórzy rzucili się do ucieczki i jak opowiedział major: „Obawiając się, że mogą ująć, a nie chcą narażać przez to życia moich żołnierzy na niebezpieczeństwo, kazałem straży strzelać i zabito ich na miejscu”. Po tej pierwszej „bitwie” jeden z patroli ujął czternastu Indian, z których

dziewięciu zginęło przy próbie ucieczki. Potem zaczęto sprowadzać nowych jeńców: „trzech Indian i jedno dziecko”, „dwie squaw”, „jednego Indianina i jedną squaw”, jednego Indianina” i na koniec „jeszcze jednego Indianina”. McGarry wówczas uwolnił dwóch zakładników z rozkazem sprowadzenia winnych masakry. Jeśli nie zjawią się przed zmrokiem, żołnierze zabiją wszystkich jeńców w obozie. Kiedy wysłannicy nie wrócili, czego się zresztą można było spodziewać, major kazał uśmiercić czterech zakładników i uwolnił kobiety i dziecko.

Podczas ostatniej akcji następnego dnia pojmano znów ośmiu tubylców i jak zwykle, podczas próby ucieczki kolejnych ośmiu „czerwonoskórnych gryzło ziemię”. Pierwsza akcja ochotników nie wróżyła nic dobrego innym Szoszonom i Bannokom, którzy mogliby stanąć im na drodze. Czytający sto lat później redaktora „Deseret News” zgadza się z nim w zupełności, że sprawcy uszli na długo przez nadejściem wojska, które wzięło odwet na niewinnych. Swe wywody kończył stwierdzeniem, że Kanada nie zna w zasadzie indiańskich wojen, gdyż *ustrój brytyjski chroni tubylców przed jaskrawymi nadużyciami, czego nie można powiedzieć o naszym*. Do Gravelly Ford było jednak prawie tak daleko jak do Kanady i późniejsze rozboje Indian, popełnione bliżej domu, nasunęły „News” zupełnie inne wnioski.

Podczas gdy żołnierze McGarry’ego „karcili Indian”, reszta ochotników nudziła się w obozie w Rubinowej Dolinie, „zjadając zapasy i marząc na śmierć przy ogniskach z szałwii”. Zaszczyty wojny domowej czekały po drugiej stronie kontynentu i waleczni obrońcy mormońskiego proroka i kilku placówek z jeźdźcami dowożącymi pocztę nie mogli się spodziewać zbyt wielu medali i awansów. Chcąc za wszelką cenę dostać się na pola bitew w Wirginii ochotnicy złożyli się na podróż z San Francisco do Panamy, wysupławszy ze swych oszczędności i poborów kwotę trzydziestu tysięcy dolarów. „San Francisco Bulletin” z miejsca poparł tę inicjatywę, oświadczając, że Brigham Young może upilnować linię pocztową z setką ludzi, jak również utrzymać *ład w Mormonii... Brigham może z łatwością zniszczyć nas mając do dyspozycji od pięciu do*

*dwudziestu pięciu tysięcy ludzi*. Gazeta wychwalała ochotników za chęć „udania się nad Potomac i za pogardę śmierci” i tak apelowała do szefa sztabu Lincolna:

Oby generał Halleck był w dobrym nastroju, gdy dojdzie go nasza depesza, oby był po najlepszym w życiu obiedzie, oby palił najlepsze w Ameryce cygaro i oby powiedział „Tak” Trzeciemu Pułkowi. Oby więc Trzeci Pułk miał sposobność postrzelać do buntowników, dziękując wujowi Abe za zniesienie niewolnictwa! Amen!

Hawańskie cygaro nie odwiodło jednak generała Hallecka od wcześniej podjętych decyzji i pułkownik Connor rozpoczął przygotowania do wymarszu do Salt Lake City z wielkimi nadziejami na stoczenie tam bitwy. Wydawca „San Francisco Bulletin” robił, co mógł, aby rozbudzić nastroje wojenne, przytaczając pogłoski, że Danitowie, czyli Anioły Śmierci<sup>2</sup> zamierzają zatrzymać wojsko przy brodzie na rzece Jordan, a zachęceni tym dziennikarze opisywali jak przywódca Danitów jeździ ulicami Salt Lake City i zakłada się o pięćset dolarów, że ochotnicy nigdy nie przejdą rzeki Jordan, „przy czym zakładu nikt nie podjął”. W odpowiedzi Connor wydał każdemu żołnierzowi trzydzieści sztuk amunicji i ostrzegł Danitów, że „przejdzie rzekę, choćby całe piekło zwróciło się przeciw niemu” i że „pobojowiska w Meksyku świadczą, iż pułkownik dotrzymuje słowa”. Ku lekkiemu rozczarowaniu żołnierzy i chyba większemu niezadowoleniu oficerów mormoni przyjęli ich gościnnie, gubernator Stephen S. Harding powitał ich przemówieniem przed swym urzędem w mieście, po czym pomaszzerowali na wschód, by w niewielkiej odległości od stolicy mormonów założyć obóz Douglas.

Szczęściem dla niektórych żołnierzy monotonię budowy nowej placówki zakłóciła wieść z Ukrytej Doliny, że Indianie porwali chłopca emigrantów. Ponownie major McGarry otrzymał rozkaz odzyskania dziecka i na czele swej kawalerii udał się w okolice Providence w Utah. Tam w pobliskim kanionie, natknęli się na czterdziestu Szoszonów pod Łowcą Nie

2. Danitowie, czyli Anioły Śmierci stanowili militarne ugrupowanie mormonów, którego członkowie tworzyli straż pobożną proroków Josepha Smitha i Brigham Younga.

dzwiedzi i McGarry rozkazał „otworzyć ogień i zabijać każdego Indianina, jaki się pojawi”. Mając wielokrotnie mniej ludzi Łowca Niedźwiedzi wraz z dwudziestoma wojownikami zjawił się pod osłoną białej flagi, uzyskawszy zapewnienie, że nie zostaną zabici. Major zatrzymał wodza i czterech jego towarzyszy do powrotu chłopca, po czym puścił ich wolno. Trzech szoszońskich wojowników zginęło w bitwie.

Ekspedycja wróciła z wiadomością, że osadnicy z północnego Utah stracili wiele bydła, więc pułkownik Connor postanowił raz jeszcze wysłać McGarry’ego aby odzyskać nieco koni i bydła i „przekonać Indian o żołnierskich zalecach ochotników”. W nadziei zmuszenia Szoszonów do bitwy kawaleria wyruszyła nocą, lecz gdy 6 grudnia dotarła do brodu na Rzece Niedźwiedziej okazało się, że ostrzeżeni tubylcy gotowi są do obrony. Podczas tego nocnego marszu żołnierze zdolali ująć czterech Indian, których McGarry zatrzymał jako zakładników, a do obozu Szoszonów wysłał indiańskiego chłopca z ostrzeżeniem, że jeśli będące w ich posiadaniu skradzione bydło nie wróci do właścicieli w południe następnego dnia, każe stracić jeńców. Słyszając tę groźbę Szoszon natychmiast zwinęli obóz, przepławili się przez rzekę Malad i zniknęli w kanionie Rzeki Niedźwiedziej. Major z miejsca wykonał swą groźbę i kazał zabić zakładników, co

„Deseret News” nappełniło obawą, że rozlanie tej krwi *uczyni ich (Szoszonów) jeszcze bardziej wrogimi i mściwymi*.

Pióro nie okazało się w tym przypadku silniejsze od miecza, lecz z pewnością bardziej przewidujące. Szoszon już zgłosili swój zamiar wybicia „wszystkich białych, których spotkają na północnym brzegu rzeki Niedźwiedziej, aż w pełni pomścą przelaną indiańską krew”. Mormońscy osadnicy spędzili całe swoje stado z północnej strony rzeki, zaś Indianie zwołali wielką naradę nad Niedźwiedzim Jeziorem i poprzysięgli zemstę. Ochotnicy Kalifornijscy mieli szczęście, że sojusznicy Szoszonów, ich przyjaciele i sąsiedzi, wojownicy Bannokowie udali się do Montany polować na bizona. Bitwa nad Rzeką Niedźwiedzią mogłaby wziąć zupełnie inny obrót, gdyby żołnierze Connora napotkali połączone siły obu plemion. Bannokowie już oświadczyli, że Szoszon „biorą dary za zabijanie białych” i uznali, że ich wojownicy będą „wynagradzani podobnie, jeśli uczynią to samo”. Lecz nawet bez swych sąsiadów Szoszon byli groźnym przeciwnikiem, gdy w sile sześciuset wojowników zgromadzili się w Ukrytej Dolinie na północ od Rzeki Niedźwiedziej i zaczęli napadać na wszystkich Gentile’ów<sup>3</sup>, którzy pojawili się w tych okolicach.

<sup>3</sup>. Gentile to nazwa, którą Indianie z Utah nadali nie-mormonom.

Tym sposobem powstała linia frontu i jedno, co pozostało żołnierzom Connora, aby „przekroczyć Rubikon” to wiadomość o zbrodni popełnionej przez szoszońskich wojowników. Nie czekano na nią zbyt długo. Dwóch kurierów pocztowych, George Clayton i Henry Bean, zginęło u wylotu Bagnistej Doliny (Marsh Valley). 8 stycznia ośmiu górników wracających z kopalń Montany zostało napadniętych podczas przeprawy przez Rzekę Niedźwiedzią, wprost na zachód od Richmond w Utah. Zrabowano wozy, uprowadzono kilka koni i zabito mężczyznę nazwiskiem John Henry Smith. Pomimo wrogości Indian, kilku mormonów przebyło rzekę i „odbyło rozmowę z kilkoma wodzami i czołowymi wojownikami”. Najwięcej zadziałała magia indiańskiej polityki Brigham Younga, skoro jego święci<sup>4</sup> z odwagą i nadzieją wkroczyli do obozu wrogów. Szczere postępowanie sprawiło, że Indianie zwrócili trochę koni, choć „z wielkim trudem przyszło ich nakłonić do oddania tego, co oddali”.

Śmierć Johna Henry’ego Smitha dostarczyła formalnego powodu do wyprawy na obóz Szoszonów; wyprawy, którą pułkownik Connor zdecydowany był i tak przeprowadzić. Na wniosek Williama Berinsa, przewodniczący sądu najwyższego Terytorium Utah, John F.

<sup>4</sup>. Pełna nazwa kościoła mormońskiego brzmi: Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego, stąd jego członków nazywano świętymi.

Kinney wydał nakaz aresztowania wodzów Łowcy Niedźwiedzi, Sanpitcha i Sagwitcha za zabicie Johna Smitha. Zadanie to miał wykonać szeryf Isaac L. Gibbs, lecz gdy „Deseret News” bez ogródek ostrzegły, że *nie ma żadnych szans na zastosowanie prawnej procedury wobec wyżej wspomnianych wodzów, poczyw szeryf przezornie zażądał ochrony wojskowej* od pułk. Connora. Ten w swym późniejszym sprawozdaniu stwierdził: „Oświadczyłem szeryfowi, że poczyniłem już odpowiednie przygotowania i nie mam zamiaru brać żadnych jeńców, ale może mi towarzyszyć”.

„Deseret News” podały, że w obozie nad Rzeką Niedźwiedzią liczącym siedemdziesiąt dwa namioty znajduje się sześciuset wojowników Szoszonów, drugi zaś obóz czterdziestu namiotów ze stu siedemdziesięcioma wojownikami leży tylko parę mil dalej. Gazeta szydziła z całego przedsięwzięcia, mówiąc że „przyniesie ono niewolę i śmierć kilku spokojnym Indianom”, zaś „winne rozbojów łotry” umkną na wolność.

By nie dopuścić do ucieczki Szoszonów w góry i zmusić ich do bitwy, pułkownik Connor postanowił wymaszerować nocą i dokonać nagłego ataku. Sześćdziesięciu dziewięciu żoł-

W 1870 roku William Henry Jackson sfotografował obóz wodza Szoszonów, Washakiego, złożony z około stu tipi.





nierzy kompanii K Trzeciego Pułku Piechoty opuściło obóz Douglas nocą 22 stycznia wraz z dwunastką kawalerzystów eskortujących piętnaście wozów wyładowanych prowiantem na dwanaście dni. Dwie noce później kompanie A, H, K i M z Drugiego Pułku Kawalerii w sile dwustu dwudziestu ludzi również ruszyły nad Rzekę Niedźwiedzią. Cały oddział liczył nieco ponad trzystu żołnierzy.

Zbliżania się czarnych kurtek nie można było długo utrzymać w tajemnicy. 27 stycznia Łowca Niedźwiedzi wraz z kilkoma wojownikami przybył do miasta Franklin i odtączył taniec wojenny wokół mormońskiego biskupa, Prestona Thomasa, dając tym wyraz niezadowoleniu, że nie otrzymali tyle pszenicy, ile żądali. Kiedy wrócili następnego dnia po więcej zboża, ujrzeli zbliżającą się do miasta piechotę. Na uwagę jakiegoś mieszkańca, że nadchodzą żołnierze i mogą ich pozabijać, Łowca Niedźwiedzi natychmiast odpałił: „Żołnierze też mogą zginąć”. Gdy jednak wydostał się poza opłotki miasteczka najwidoczniej docenił powagę sytuacji i jego wojownicy jęli zrzucić na ziemię worki pszenicy, aby ulżyć koniom w drodze do obozu.

Kiedy ochotnicy dotarli do Franklin, mieszkańcy umieścili ich na spoczynek w swych domach i budynku szkolnym, toteż zmordowanym żołnierzom o poodmrażanych dłoniach, maszerującym przez kilka nocy, goszczący ich mormoni byli naprawdę świętymi. Odpoczynek nie trwał jednak długo. Ich niezmordowany dowódca nie miał zamiaru dać ujść swym ofiarom i o pierwszej w nocy piechurzy pomaszerowali wśród przenikliwego zimna ku odległej o dwanaście mil Rzece Niedźwiedziej. Szczęśliwsi kawalerzyści mogli się wylegiwać dwie godziny dłużej nim ruszyli w pochód. Pierwsi też dotarli nad rzekę i Connor tak pisał w swym raporcie: „Gdy nastał świt, przestraszyłem się, że Indianie odkrywają, z jaką siłą mają do czynienia i rzucają się do ucieczki”. Na- kazał zatem kawalerii, by gwałtownym marszem „otoczyła ich przed atakiem”.

Patrick Connor mógłby oszczędzić sobie tych trosk i niepokojów. Indianie wcale nie mieli zamiaru uciekać. Byli dobrze przygotowani i palali chęcią zabicia kilku żołnierzy. Szoszonscy przywódcy dobrze obrali pozycje. Mówił później pułkownik Connor:

Pozycje, jakie zajęli Indianie, stanowiły potężne, naturalne umocnienia, niemal niedostępne dla żołnierzy. Był to wyschnięty, głęboki na sześć do dwunastu stóp wąwóz o bardzo stromych brzegach, szeroki na 30–40 stóp i ciągnący się w poprzek równego płaskowyżu, wzdłuż którego pobudowali strzelnice, skąd ukrycie mogli prowadzić ogień. Pod nabrzeżem wzniesli przemysłne osłony z gęsto splecionych ze sobą wierzb, spoza których również mogli się ostrzeliwać niewidoczni z zewnątrz.

Wąwóz ten znany obecnie jak Bitewny Potok (Battle Creek) biegł na północ od Rzeki Niedźwiedziej, pomiędzy niskie wzgórza porośnięte szalwią i jałowcem. Indiańskim wodom ich pozycje wydawały się nie do zdobycia. Gdyby atak wojska po równinie na wprost parowu zakończył się powodzeniem, pozostawały dwie drogi ucieczki: jedna przez Rzekę Niedźwiedzią przy wejściu do kanionu, a druga przy wylocie wiodącym na wzgórze. Kobiety i dzieci mogły opuścić tipi w dole wąwozu i uciec pierwsze pod chroniącym je ogniem walczących w tylnej straży mężów.

To, że bitwa nie zakończyła się zgodnie z oczekiwaniami szoszońskich generałów jest smutnym dowodem na to, że nie wzięli oni pod uwagę punktu widzenia przeciwnika na teren walki, którą mieli stoczyć, co zdarzało się osobom bardziej znanym w dziejach. Sama bitwa przedstawiała się następująco. Pierwsze szwadrony kawalerii przebyły rzekę i uderzyły na indiańskie umocnienia na płaskowyżu. Kiedy żołnierze formowali się w szyku bojowym. „Indianie zdawali się w dobrych nastrojach oczekiwać nadchodzącego starcia”. Jeden z wo-dzów jeździł tam i z powrotem przed ścianą kanionu „potrząsając włócznią w stronę ochotników” podczas gdy wojownicy stojący wzdłuż brzegu krzyczeli: „Czwórkami w prawo, czwórkami w lewo, chodźcie tu kalifornijskie skurwysyny!” Atakujący ponieśli najwięcej strat na początku bitwy, gdy celny ogień z indiańskich umocnień dziesiątkował żołnierzy.

Pułkownik Connor wysłał flankierów ku obydwom końcom parowu i prowadzony stamtąd ogień zamknął wkrótce drogi odwrotu, zmieniając warowny kanion w śmiertelną pułapkę. Pod koniec czterogodzinnego starcia walka wręcz zmieniła się w masakrę, kiedy

żołnierze bez litości strzelali do mężczyzn, kobiet i dzieci. Porównanie strat poniesionych przez obie strony mówi o bezwzględności ludzi Connora. Ochotnicy Kalifornijscy mieli dwudziestu dwóch zabitych, czterdziestu dziewięciu rannych i siedemdziesięciu dziewięciu z odmrożonymi stopami. Straty Szoszonów wahały się od dwustu dwudziestu czterech zabitych według raportu Connora do blisko czterystu, jak liczą inni obserwatorzy, w tym kobiety i dzieci, których zginęło podobno do dziewięćdziesięciu. Po bitwie żołnierze zniszczyli siedemdziesiąt tipi, zagarnęli sto siedemdziesiąt pięć koni, zebrali ponad tysiąc buszli pszenicy i mnóstwo rzeczy pochodzących z łupów zdobytych na emigrantach. Mormoni z Logan, choć przerażeni okrucieństwem bitwy, uznali akcję Connora za „zrządzenie Najwyższego, który ukarał Indian z okolic Rzeki Niedźwiedziej”.

Oficjalne stanowisko rządu wobec bitwy najlepiej wyraził inspektor James Doty z Biura do Spraw Indian w Utah: „Napełniła strachem serca dzikich na setki mil od pola bitwy” – pisał. Wierzył iż klęska „rzuciła ich na kolana i była słuszną karą za rozmyślne okrucieństwa, jakich się dopuszczali”. I rzeczywiście, kiedy na wiosnę Patrick Connor mianowany generałem brygady, demonstracyjnie poprowadził swe wojsko nad Rzekę Wężową w okolicy fortu Hall, nie spotkał tam żadnych Indian. Szoszoni i Bannokowie otrzymali surową lekcję, którą większość indiańskich plemion otrzymała przed czy później w swej historii, a która mówiła, że otwarta bitwa ze skutecznie kierowanym wojskiem przynosi klęskę. Indianie z kraju, przez który wiodł Szlak Oregoński wrócili więc do starej strategii wojny podjazdowej, strategii, która nie zawiodła ich w przeszłości i miała być zastosowana ponownie.

Osadnicy mormońscy wraz z emigrantami szybko odczuli gniew Szoszonów. Pewien przyjazny im Indianin opowiedział, że wódz Sagwitch został tylko ranny w rękę podczas bitwy i że teraz jest „bardzo zły na mormonów”, gdyż widział „mormonów walczących u boku żołnierzy i użyje całego wpływu, jaki ma na innych Indian, by nas [mormonów] rabować”. Wódz Pocatello, który nie brał udziału w bitwie, powiadomił białych, że chce walczyć

i spotkać się z żołnierzami generała Connora *dla zaspokojenia swej żądzy sławy* – jak to ujęły „Deseret News”. Później, gdy Ochotnicy Kalifornijscy przyjęli wyzwanie, Pocatello dyskretnie „wycofał się” ze swymi wojownikami. 22 kwietnia 1863 roku gazeta z Salt Lake City podała, że Indianie znad szlaku wiodącego ku północnym kopalniom *są niezmiernie wrody białym i mają zamiar pomścić zabitych nad Rzeką Niedźwiedzią, nim skończy się ten rok*.

Po trzech miesiącach grózb Szoszoni i Bannokowie znów rozpoczęli najazdy, gdy ciepła pogoda przyniosła ożywienie ruchu na drogach. 4 maja jeden z oddziałów Connora stoczył bitwę z Indianami około pięćdziesięciu mil od Muszlowego Potoku, na zachód od Jeziora Słonego, zabijając dwudziestu dziewięciu wrogów. W dwa dni potem, następna bitwa przyniosła śmierć dwudziestu trzem wojownikom. „Deseret News” zamieściły pogłoskę, że wojsku Connora nakazano strzelać na sam widok Indianina, gdyż armia przyjęła indiańską filozofię: skalp za skalp, lecz zaraz dodawały: *Nie wierzymy doniesieniu, gdyż nie możemy posądzać dżentelmena noszącego mundur o taki brak uczuć ludzkich*.

Niedaleko miejsca styczniowej bitwy wódz Sagwitch napadł na chłopca pasącego bydło i zagarnął prawie całe stado. Dziesięciu „Duńczyków” pracujących w sąsiedztwie ruszyło za Indianami i odzyskało zwierzęta. Jednak przed odejściem z okolicy wojownicy Sagwitcha zabili *mężczyznę wypalającego węgiel na zboczu kanionu*. Najlepsze chyba podsumowanie indiańskich najazdów i reakcji mormońskich osadników znajdziemy w liście Ezry T. Bensona z Ukrytej Doliny do jednego z kościelnych przywódców i szefa terytorialnej milicji Daniela H. Wellsa:

Logan, 9 maja 1863 roku

Indianie zachowują się niezwykle wrogo, porwując zewsząd konie i zabijając czasami bydło. 1 maja, w piątek, trzech Indian napadło na dwóch mężczyzn w kanionie koło Franklin. Jeden z nich został trafiony dwoma strzałami w pierś (boimy się, że ze śmiertelnym skutkiem). Indianie pocięli uprząż na kawałki i umknęli pościgowi braci. Teraz grożą porwaniem mormońskich kobiet. Ubiegłej soboty zagarnęli trochę koni z Milville... piętnastu naszych wyruszyło za nimi, znaleźli obóz

Indian, lecz ci ukryli konie dalej w górach... zabrałiśmy resztę (indiańskich) jeńców aż otrzymamy wiadomość od Ciebie, gdyż – o ile wiemy – chcą oni nas nie tylko rabować, ale i zabijać... Wrodzy Indianie to niedobitki grup walczących nad Rzeką Niedźwiedzią ubiegłej zimy i mówi się, że chcą zemścić się na mormonach, skoro nie mogą na żołnierzach... Dopuszczając się tych występków, cały czas jedzą mąkę daną im przez braci...

Mniejsza już o zrabowany dobytek, lecz zabijanie braci i napady na nas sprawiły, że niecierpliwie czekamy na Twoją radę, gdyż nie chcemy zabijać, chyba że w razie konieczności. Oni jednak wprost zmuszają nas do tego, więc poradź, co mamy zrobić. Bracia z trudem znoszą ich zniewagi i trzeba wiele perswazji, by odwieść nas od chęci starcia ich z powierzchnią ziemi.

E.T. Benson  
Peter Maughan

Po upływie dwóch miesięcy od wysłania tego listu generał Connor również przekonał się, że nie wystarczy jednak bitwa, by odnieść pełne zwycięstwo. Po nie dającej nic wyprawie w okolicy fortu Hall, gdzie nie natrafił na żadnych wrogów, kilku wędrowców do Oregonu stwierdziło, że „generał Connor nic nie zdziałał przeciw Indianom. Już zdążyli napaść na karawanę około czterdziestu mil za fortem Hall”. To prawda, że napotkał Indian, którzy „zapewniali go usilnie o swym nienagannym postępowaniu w przeszłości i obiecywali zachowywać się jak jagnięta w przyszłości”, lecz takie oświadczenia nie znaczyły wiele w owym miejscu i czasie i emigranci mieli całkowitą rację.

Biuro do Spraw Indian próbowało osiedlić różne plemiona szoszońskie już od dłuższego czasu i w końcu agent Doty z pomocą generała Connora zawarł z nimi trzy traktaty latem 1863 roku: pierwszy ze wschodnimi Szoszonami 2 lipca w forcie Bridgera, drugi z północno-zachodnimi odłami z Doliny Jasionoklonu 30 lipca i na koniec 1 października z zachodnimi Szoszonami w Rubinowej Dolinie. Mimo to, jak wykazywał Doty w swym raporcie do komisarza do Spraw Indian:

Niedostatki zwierzyny na tych terenach i zajęcie ich najurodzajniejszej części przez nasze osadnictwo doprowadziło tych Indian do skrajnej nędzy. Od kilku lat są dosłownie zmuszani do

rabowania, aby utrzymać się przy życiu. Nie należy zatem oczekiwać, że dziki i wojowniczy naród pokornie zgodzi się na zajęcie swego kraju przez ludzi obcej rasy, a co za tym idzie na przymieranie głodem...

Szlaki do Oregonu i Kalifornii były jeszcze nie raz świadkiem napadów i zabójstw, aż nadeszły koleje w 1869 roku zmniejszające liczbę płóciennych wozów przemierzających zakurzone drogi. Długo jeszcze opieszale rząd i obojętni bądź wrodzy osadnicy przyglądali się jak Bannokowie i Szoszoni wędrowali po swych górach i pustyniach rozpaczliwie poszukując środków do życia, aż musieli się pogodzić z życiem w rezerwach, które na zawsze zabrano im ze starych łowisk wzdłuż Oregońskiego Szlaku. □

Brigham D. Madsen

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Brigham D. Madsen jest obecnie emerytowanym profesorem historii Uniwersytetu Utah w Salt Lake City. Napisał m.in. *The Bannock of Idaho, The Lemhi: Sacajawea's People, The Northern Shoshoni* oraz *The Shoshoni Frontier and the Bear River Massacre*. W polskiej wersji eseju „Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregońskim Szlaku” (jego pierwszą część opublikowaliśmy w numerze 4[32], grudzień 1995) pominięto liczne przypisy Autora, zawierające adresy bibliograficzne ówczesnej korespondencji wojskowej i urzędowej, a także artykułów prasowych, całkowicie niedostępnych w Polsce. Dla przejrzystości tekstu, esej uzupełniono kilkoma przypisami tłumacza. Przekład i publikacja w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą Autora i Utah State Historical Society, reprezentowanego przez panią Miriam B. Murphy, zastępcę red. naczelnego „Utah Historical Quarterly” (Copyright © 1967 by Utah Historical Quarterly).

Zdjęcia na stronie obok:

**I Złot, Chodzież '77 – Pierwsze strzelanie.**

Od lewej Jan Łażewski, Jacek Przybylak, Witold Nalepa i Leszek Michalik. Fot. nieznan.

**II Złot, Chodzież '77 – Jacek Przybylak. Fot. nieznan.**

**III Złot, Chodzież '79 – Rodzinne zdjęcie uczestników zlotu. Fot. Andrzej Karpiński**











Na rozkładówce:

*Jeden dzień, wieczór i noc na Zlocie. Obraz wioski i tipi.* XVII Zlot, Uniejów '93. Fot. Mirosław Baryga oraz XIX Zlot, '95 (fot. nieznan)

Na tej stronie, od góry:

Leszek Michalik otwiera X zlot PRPI w Chodzieży w 1986 roku. Fot. Marek Maciolek(MM)

**III Zlot, Chodzież '79** – *Niedźwiadek celuje do bizona.* Fot. MM

**X Zlot, Chodzież '86** – *Taniec Apaczów w wykonaniu grupy Młodych Wilków z Chodzieży.* Fot. MM

Jacek Przybylak

## Zanim powstał Polski Ruch Przyjaciół Indian

Skąd wziął się Polski Ruch Przyjaciół Indian? Jakie były początki krajowych zlotów? Gdzie i kiedy narodziła się tradycja corocznych spotkań? Wiecie? Nie? Czytajcie więc. W Polsce, w czasach powojennych, szczególnie zaś w latach sześćdziesiątych rozwinęły się badania w dziedzinie „indianologii”. W związku z tym na rynku ukazało się sporo książek o tematyce indiańskiej, zarówno naukowych, popularnonaukowych, jak i beletrystycznych. Efektem tego było powstanie klubów, kół i grup nieprofesjonalnie zajmujących się sprawami dotyczącymi kultury materialnej i duchowej Indian amerykańskich. Była to działalność o stosunkowo wąskim polu działania, bez jakiegokolwiek koordynacji czy szerszych form współpracy z innymi grupami. Kluby takie nie znajdując poparcia ówczesnych organizacji młodzieżowych czy innych instytucji szybko się rozpadały. W 1968 roku rozpoczęła działalność grupa indianistów w Chodzieży. Byłem jednym z jej inicjatorów i długoletnim szefem. Pracowaliśmy (i bawiliśmy się) bez szerszych kontaktów do 1973 roku, kiedy to zupełnie nieoczekiwanie nawiązałem kontakt z Leszkiem Michalikiem, uczniem ubóstwianego przez nas Sat-Okha, znanego z telewizyjnego „Ekranu z Bratkiem”. Był to okres wielkiego przełomu, odmiany naszego spojrzenia na kwestie historii, tradycji i duchowych ścieżek Indian.

Od Leszka nauczyliśmy się podstawowych prawd, poznawaliśmy ogromne bogactwo indiańskiego rzemiosła, obrzędów, wierzeń, legend i opowieści. Praktycznie od zawsze marzyło mi się zorganizowanie spotkania ludzi zainteresowanych Indianami, ale pierwsza konkretna rozmowa na ten temat miała miejsce w Sztumie. W swoje 18 urodziny, w sierpniu pojechałem rowerem do Leszka – było to nasze pierwsze spotkanie! I on również zamierzał coś podobnego zorganizować, na wzór od lat prężnie działających i spotykających się na zlotach indianistów z ówczesnej NRD i Czechosłowacji. Przeglądaliśmy wtedy niemal całą noc i do-

szliśmy do wniosku, że najpierw należy zebrać chętnych do imprezy, a później to już jakoś pójdzie.

Najbliższy rok był bardzo pracowity – po brzegi wypełniony ciągłymi kolejowymi wyprawami, dyskusjami, kilogramami wysłanych listów, zbieraniem adresów etc. Następne lato także było oglądane spod kolarskiej czapeczki. Pojechaliliśmy do Sztumu w ramach rowerowego obozu wędrownego i tam wówczas uzgodniliśmy, że Lechu zajmie się stroną merytoryczną – w tym programem i zaproszeniem gości z zagranicy, a chodzieżacy przejmą kwestie techniczne – zezwolenia, teren obozowiska, wyżywienie, zakwaterowanie, no i zaproszenie gości z całej Polski.

Wspaniałą okazją do spotkania była zbliżająca się setna rocznica bitwy nad rzeką Małego Wielkorożca (Little Bighorn) – ustaliliśmy więc datę pierwszego zlotu na 24–26 czerwca 1976 roku. Do prac przygotowawczych i organizacyjnych przystąpiliśmy w 1975 roku i staraliśmy się przygotować imprezę solidnie i uczciwie, szczególnie w stosunku do władz. Do wiosny 1976 rozwiązywane zostały kwestie techniczne – miejsce biwakowania, zgoda ówczesnego leśniczego, wyżywienie, pamiątki zlotowe i nagrody. Cieszyliśmy się również ustnym poparciem władz wojewódzkich. Wysłaaliśmy zaproszenia pod wszystkie znane adresy w kraju. Leszek przygotował szczegółowy program i zaprosił gości z Frankfurtu i Magdeburga, Liberca i Koszyc. Wszystko związane było na ostatni guzik, kiedy na niecały miesiąc przed planowanym terminem spotkania władze zmieniły nagle zdanie. Wezwano mnie do Piły i poinformowano o absolutnym zakazie organizowania jakiegokolwiek imprezy, a tłumacząc się dobrem państwa profilaktycznie postraszone służbą bezpieczeństwa, prokuraturą i milicją. Takie to były ciekawe czasy, ale cóż mieliśmy robić, skoro zagrażaliśmy istnieniu państwa. Przepełnieni goryczą, pokonani, odwołaliśmy oficjalne spotkanie, ale nasze listy nie do-



wszystkich dotarły. Przyjechało kilka osób i ukryci w gęstym lesie, pod ogromną 300-letnią sosną świętowaliśmy wspólnie skromne i nieoficjalne przedwiośnie przyszłych zlotów. Tę imprezę uważamy dziś za „zlot zerowy”.

Skoro nie udało się zlotu zorganizować uczciwie, użyliśmy podstępów i w rok później obeziliśmy po cichutku wszelkie zakazy. Dzięki działalności Janka Łażewskiego i mojej w chodzieskiej placówce ZHP, po wielu spotkaniach i zakrapianych dyskusjach z dowództwem, udało się nam wypożyczyć kompletny obóz harcerski z namiotami, łózkami, koldrami, kocami, ba! nawet z latryną w ekologicznym kształcie muchomora. Wypożyczenie było całkowicie nieoficjalne, bez zabezpieczenia obu stron – na słowo honoru, ale po zlocie okazało się, że absolutnie NIC nie zginęło. Nauczani smutnym doświadczeniem zrezygnowaliśmy z zaproszenia zagranicznych gości – wystarczyło zesłać rocznego wstydu. W „Świecie Młodych” poszła w lipcu notatka reklamowa, dzięki której otrzymaliśmy znacznie więcej zgłoszeń niżli miejsc noclegowych w obozie, trzeba więc było ograniczyć liczbę zlotowiczów, o co niektórzy do dziś mają żal (zob. „Zwierzenia Cienia” w poprzednim numerze), ale wtedy nie było możliwości manewru – początki zawsze są trudne.

Oboz przejeżdżaliśmy na dwa dni przed zlotem. Pracy było sporo, ale z pomocą Piotra Spólnego, Andrzeja i Romka Maków, Rysia Otto i niezastąpionego Witka Nalepy przedstawiliśmy kilka dużych „dziesiątek”, kilka zwiniliśmy, wymieniliśmy (i ponaprawialiśmy) kiepskie łóżka na solidne, zaopatrzyliśmy każde z nich w siennik, koldry i koc, ogrodziliśmy teren, wybudowaliśmy bramę, przestawiliśmy muchomora, a w końcu wywieźliśmy pełnego Stara zbędnego sprzętu. Zajęło nam to niecałe dwa dni. 23 sierpnia wzmocnieni przez Janka Łażewskiego oraz Marka i Michała Kabatów oczekiwaliśmy pierwszych zlotowiczów.

No i zjawili się. To było coś cudownego i niesamowitego, kiedy ludzie znający się tylko z listów czy telefonów mogli po raz pierwszy paść sobie w ramiona i usłyszeć dziś już nieznane – witaj Bracie, witaj Siostrze. To była jedna wielka, kochająca się rodzina. Ogromne poruszenie wywołał przyjazd Sat-Okha i Tehke-rooa. Obydwaj natychmiast zajęli się programem imprezy i nauczaniem początkujących, czyli wszystkich. Każdy biegał z zeszytem pod pachą i skrzętnie notował informacje, adresy, tłumaczenia z „Akwasasne Notes” i innych in-

diańskich gazet, rysował geometryczne wzory, zapisywał nuty dopiero co zasłyszanych pieśni. To był dla wszystkich bardzo pracowity zlot, choć było tylko jedno tipi, skromna wystawa rękodzieła, niewielki udział mediów („Świat Młodych” i „Przekrój”), za to ogólnie oblegane zawody łucznicze, rzutu oszczepem, zabawy z lassem, nocna gra terenowa (nigdy potem nie powtarzana, ale już ujęta w programie tegorocznego zlotu), przyogniskowa nauka i wspólne śpiewanie pieśni indiańskich i niekończąca się wymiana materiałów, doświadczeń, pomysłów i wątpliwości.

W ostatnim dniu spotkania zorganizowaliśmy wraz z Mariolą Czerwińską obrady Rady Starszych w celach organizacyjnych. Podzieliliśmy teren kraju na jedenastą okręgów, wybraliśmy jedenastu wodzów oraz wodza naczelnego, rozdzieliliśmy konkretne zadania dla wszystkich i długo delibrowaliśmy nad nazwą naszego towarzystwa. Ruch Ludzi Natury, Ruch Polskich Indian, Polski Ruch Indiański – to tylko niektóre z propozycji zażarcie broniących przez swych autorów. Musiało upłynąć kilka lat (do V zlotu w 1981 roku) nim wszyscy zgodzili się na dziś ogólnie znany POLSKI RUCH PRZYJACIOŁ INDIAN. Takie były początki.

W tym roku nie musieliśmy uciekać się do podstępów podczas rozmów z władzami miasta. Już w lutym, przy silnej akceptacji burmistrza i Rady Miejskiej, mieliśmy załatwione wszystkie ważne sprawy, począwszy od Nadleśnictwa przez Sanepid, Straż Pożarną, Policję, Wodociągi, Energetykę, Bank na Urzędzie Skarbowym kończąc. Zeszłoroczny opiekun zlotowego wampumu, Grzesiek Dziabas, już w styczniu br. otrzymał od nas kilka propozycji wspólnej pracy. Niestety, jak to u Polaków bywa, nie doszliśmy do porozumienia. Choć Grzesiek miał poparcie kilku osób i Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian (nie mylić z Ruchem!), nie wystarczyło to do przeprowadzenia skutecznych rozmów w chodzieskich urzędach. Nieznany jako działacz nie otrzymał zgody na rozbić obozu w Chodzieży i wtedy właśnie pojawiały się groźba dwóch zlotów i podziału Ruchu. Dopiero szczerza i bezkompromisowa pomoc Niedźwiadka, Lolka i innych osób pozwoliła nam w kwietniu zjednoczyć nasze siły. Grzesiek pracuje obecnie w Grupie Organizacyjnej i wspólnie zrobimy zlot, o którym od dawna marzymy. Przyjeďte, a przekonacie się sami. □

Jacek Przybylak

## XX Zlot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian Chodzież '96

Dwadzieścia lat temu z inicjatywy chodzieskiego Koła Zainteresowań Kulturą Indian „Dakota” doszło do pierwszego spotkania młodych ludzi zafascynowanych historią, życiem i kulturą Indian. Nad jego organizacją czuwał Stanisław Supłatowicz, Sat-Okh, człowiek dzięki któremu wielu z nas dostrzegło piękno indiańskiej ścieżki i który również w tym roku wspomaga nas swoim doświadczeniem i wiedzą.

Organizując XX Jubileuszowy Zlot chcemy znowu spotkać się w Chodzieży, niemal w tym samym, co ongiś, miejscu. Tegoroczny zlot odbędzie się w dniach 2-7 sierpnia 1996 roku.

Zamierzamy zaoferować uczestnikom sporo zabawy, solidny łyk historii, dawkę tańca i śpiewu. Za dnia zajmijmy się konkursami (z nagrodami), gram, zabawami oraz zajęciami dydaktycznymi. Wieczory natomiast będą poświęcone muzyce, tańcom, sztuce teatralnej, poezji oraz prezentacji filmów o tematyce indiańskiej. Będą również zajęcia i zabawy dla dzieci (oraz ich mam i ciotek).

W Ruchu jest wiele osób zainteresowanych muzyką, poezją i sztuką pierwotnych mieszkańców obu Ameryk. Zorganizujemy więc warsztaty muzyczne i galerię umożliwiające podzielenie się swoimi osiągnięciami z uczestnikami Zlotu. Chcąc stworzyć odpowiednie warunki do realizacji tych pomysłów, prosimy o szybki kontakt osoby chcące wziąć udział w kształtowaniu programu Zlotu.

Naszym pragnieniem jest stworzenie pozytywnej, zapomnianej dzisiaj, atmosfery, która była nieodłączną częścią pierwszych zlotów, a o której pamiętają ich uczestnicy biorący udział w przygotowaniu tegorocznego Zlotu. Zapewniamy wszystkim uczestnikom dogodne warunki obozowania, parking dla samochodów, możliwość zaopatrzenia się w obozowym sklepie w artykuły spożywcze, jak również atrakcyjny program, na który składają się m.in.

**2 sierpnia** – Ok. godz. 18.00 – Uroczyste rozpoczęcie imprezy z udziałem przedstawicieli miasta; występy zespołów artystycznych, prezentacja filmów o tematyce indiańskiej.

**3 sierpnia** – Konkursy i zabawy oraz zajęcia dydaktyczne, po południu impreza dla mieszkańców miasta w Amfiteatrze; występy

zespołów muzycznych i tanecznych, wystawa fotografii i prac malarskich w Chodzieskim Domu Kultury, spotkanie autorskie z Markiem Fiedlerem połączone z promocją jego najnowszej książki. Na terenie obozu, wieczorem odbędzie się impreza artystyczne, filmy i nocna gra terenowa.

**4 sierpnia** – Budowa Areny Tańca, konkursy i zabawy; wieczór poświęcony twórczości indiańskiej – spektakl teatralno-poetycki.

**5 sierpnia** – Dzień przygotowany przez taneczerzy ze Sztumu, nauka podstaw indiańskich kroków tanecznych, tańce kobiet.

**6 sierpnia** – Konkursy zręcznościowe, zabawy, prelekcje i wykłady; wieczorem pokaz slajdów, występ zespołu artystycznego.

**7 sierpnia** – Rozstrzygnięcie konkursów, wręczenie nagród, wspólne tańce i zabawa; zakończenie Zlotu.

Jest to jedynie wstępny program ramowy, dużo w nim miejsca na wasze pomysły i koncepcje. Zgłoszenia uczestnictwa, tudzież pytania i propozycje prosimy kierować pod adres:

**Grupa Organizacyjna XX Zlotu PRPI**

**ul. Reymonta 21/7**

**64-800 Chodzież**

**ew. tel. (0-67) 821-725**

Opłatę zlotową w wysokości 20 zł (dwadzieścia złotych) prosimy przekazać na konto:

**XX Zlot PRPI**

**WBK S.A. O. Chodzież**

**355605-120027-132**

Termin wpłat mija 10 lipca br. (data stempla pocztowego). Opłatę zlotową można uiścić także na terenie obozowiska, ale w wysokości 25 zł. Osoby, które wpłacą opłatę na konto, a nie będą mogły wziąć udziału w zlocie, otrzymają zwrot pieniędzy. Dzieci i młodzież do lat 15 są zwolnieni z opłat.

Na zlot należy zabrać sprzęt obozowy: tipi lub namiot, koc lub śpiwór, coś do gotowania (kociołek, garnek). Będzie możliwość nabycia gotowego posiłku lub artykułów spożywczych na miejscu.

**Zzukamy Jedności we wspólnym Kręgu. Mamy nadzieję, że znajdziemy ją z Wami.**

**Organizatorzy XX Zlotu PRPI**

## FILMA INDIANIE

### Kilka subiektywnych uwag

Wróciła moda na westerny. Kinomani w średnim i starszym wieku przyjęli ją z sentymentem, niektórzy pewno nawet z radością – wielu wszak na tych filmach się wychowało, to one uczyły nas odróżniać dobro od zła w całkiem atrakcyjny sposób. A razem z westernami przyszły filmy o tematyce indiańskiej, w większej ilości niż za tamtej fali westernów z lat sześćdziesiątych. Dlaczego akurat teraz, to już temat sam w sobie, może nawet godny szerszych studiów socjologicznych.

Być może zaawansowanemu w swych poszukiwaniach „indianiście” nie wypada ekscytować się filmowymi obrazami, czyli produktami jak by nie było skrajnie komercyjnymi, więc ponad miarę uproszczonymi, a nawet – bez zbytnich skrupułów – przekłamanymi. Amerykanie nigdy nie przejmowali się dosłownością historyczną. Filmy te wniosły więcej mitów i fałszywych stereotypów niż rzeczywistej wiedzy o życiu Indian, podobnie zresztą jak lekcja historii z klasycznego westernu posiłkuje się raczej obrazem świata przez niego samego w latach trzydziestych powołanym, niż rzeczywistą historią Dzikiego Zachodu.

Ale cokolwiek by powiedzieć, właśnie film i praktycznie tylko on jest w stanie przekazać jakąś część wiedzy w sposób choć w pewnym stopniu zbliżony do bezpośredniego, osobistego kontaktu. A kontakt bezpośredni jest niezastąpiony – przeczytanie nawet wielu dobrych książek, przejrzenie niezliczonych obrazków czy fotografii, niewiele powie o tak istotnych szczegółach, jak sposób zachowania, reakcje, indywidualny charakter, a zwłaszcza nie przekazać kolorytu codziennego życia. A te właśnie elementy decydują o tym, że ktoś staje się czy jest miłośnikiem kultury Indian, ale i jakiegokolwiek innej nacji czy kultury. Poza tym film silnie oddziałuje na emocje! Stąd treści za

jego pośrednictwem przenoszone łatwo znajdują przystęp do widza.

Przypuszczam, że zdecydowana większość starszych Przyjaciół Indian zaangażowała się w swą działalność pod wpływem niegdysiejszego zauroczenia niemieckim serialem kinowym „Winnetou”, który swego czasu (w drugiej połowie lat sześćdziesiątych) bił niewyobrażalne dzisiaj rekordy popularności. Młodszy zaś zafascynowali się „Tańczącym z Wilkami”. A jeśli nie samym filmem, to pewno otoczką mody na indiańskość tym filmem sprowokowaną. I nic w tym dziwnego. To przecież film, zwłaszcza hollywoodzki, od stulecia kształtuje wyobraźnię całej niemal ludzkości.

Bo tak naprawdę, to dlaczego akurat kultura Indian Ameryki Północnej miałyby być o wiele bardziej atrakcyjna niż kultury licznych plemion afrykańskich, azjatyckich i innych? Czyżby nasi Indianie aż tak się na ich tle wyróżnili? Czym? Być może, że ich kodeks moralny, stosowany przez nich system wartości i jego realizacja są nam najbliższe; ich pogląd na takie wartości jak odwaga, prawda, godność, odpowiada naszym wyobrażeniom o ideale, nic to, że pojmowanym nieco naiwnie. A może po prostu chodzi o to, że Indianie mieszkali w Ameryce, a Amerykanie robią teraz filmy najsukceszniej, a Dzikiego Zachód okazał się – ze względu na pionierskość czasów, zmagania z przeciwnościami przyrody w fascynującym krajobrazie – najbardziej chwytliwym tematem i tą drogą Indianie znaleźli się w filmie? Pewnie, to uproszczenie, ale coś w tym może i jest.

#### Szlachetny Apacz

Nad fenomenem popularności „Winnetou” warto chwilę się zatrzymać, choć sama sprawa dawno już przestała być aktualna.

Dlaczego akurat „Winnetou” cieszył się tak olbrzymią popularnością, a nie inny, amerykański wytwór w rodzaju np. „Złamanej strzały” – to był serial telewizyjny, niezależny od filmu kinowego z Jeffem Chandlerem, też popularny u nas. Może dlatego, że „Winnetou” był filmem całkowicie europejskim: kręcony był w przepięknych skądinąd plenerach dawnej Jugosławii, aktorzy to bynajmniej nie autentyczni Indianie, a samego Winnetou grał sympatyczny Francuz. Ja i wówczas o tym wiedziałem, ale nie przeszkadzało to w pozytywnym odbiorze filmu. Nadto autor pierwowzoru książkowego, Karol May to Niemiec, który Amerykę odwiedził dopiero w 1908 roku, ale nigdy nie był w Arizonie czy Nowym Meksyku. Swoją drogą – mity i legendy wokół jego osoby powstałe, same w sobie stanowią pasjonujący temat. May to przecież kryminalista, który swego Winnetou wymyślił w więzieniu.

Może ten europejski rodowód szlachetnego wodza Apaczów spowodował, że przyjęliśmy go tak ciepło, wręcz entuzjastycznie. Bo takich Indian po prostu nie ma, o czym skutecznie przekonuje nas Jacek Piwowski w swych korespondencjach wprost z indiańskich rezerwatów. Bohaterowie niemieckich filmowców to wytwór na wskroś europejski, odpowiadający ówczesnym oczekiwaniom młodego mieszkańca Bonn, ale i Warszawy; po prostu takiego wizerunku Indianina oczekiwano. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że to w tamtych latach młodzież europejska, także i u nas, fascynowała się ruchami hipisowskimi, które z zewnątrzności Indian Prerii sporo czerpały. Na podobną mistyfikację widz kinowy zawsze chętnie się godził.

W Ameryce jednak podobny film wtedy nie powstał. „Tańczący z Wilkami” to już inna epoka, przede wszystkim inne spojrzenie na cywilizację, inne zapotrzebowanie współczesnego widza. O ile trzydzieści lat temu widz mógł być całkowicie przekonany o nieustającym postępie cywilizacji (choć jego cena bywała niekiedy wysoka, choćby przez zagładę owych kultur indiańskich, niewątpliwie niższych, choć nie bez swego uroku), to obecnie sens tego postępu przestaje być oczywisty. Pytamy teraz: po co nam to było? Czy aby to, co zniszczyliśmy, nie było cen-



Pierre Brice jako niezapomniany Winnetou

niejsze niż to, co w zamian stworzyliśmy? Ale pytanie o sens naszej cywilizacji znowu za daleko odbiega od tematu.

Czy więc May mógł pisać tak jak pisał właśnie dlatego, że nigdy nie widział Indian<sup>1</sup>, których opisywał i oszczędzono mu konfrontacji wyidealizowanych wyobrażeń z niejednoznacznością jak zawsze rzeczywistością? Tylko dlatego? Pewien bośniacki literat bolejąc nad tragicznym losem swej ojczyzny i wyniszczanego narodu, sformułował na marginesie swych rozważań interesującą myśl. Otóż napisał niedawno dla „Gazety Wyborczej”, że „May mógł o nas, Indianach, mówić z takim zrozumieniem i miłością dlatego, że był outsiderem”. Głodnego rozumie tylko głodny – to prawda. Ale

1. Podczas swej podróży do Ameryki w 1908 roku Karol May zwiedził tylko niektóre wschodnie stany USA. Sfotografował się pod pomnikiem wodza Seneków, Sa-go-ye-wat-ha w Buffalo i pojechał do rezerwatu Tuskarorów. Po ujrzeniu nędzy ich życia pisarz nie odważył się już na podróż w głąb Ameryki, do plemion, których życie tak barwnie opisywał – przyp. red.



interesujące jest użyte tu słowo „o nas”. Przedstawiciel Bośniaków przyrównuje więc sytuację swego ludu do sytuacji Indian północno-amerykańskich z XIX wieku. Ma na myśli beznadziejność sytuacji. I stwierdza, że podobnie jak wówczas, współczuć tak naprawdę mogą co najwyżej outsiderzy, sami zepchnięci na margines. A swoją drogą pasjonujące, jakimi ścieżkami mogą podążać ludzkie skojarzenia. Ciekawa też jest kolejna myśl owego Bośniaka. Odwrotnie: czy aby May nie pozostał „outsiderem na zawsze dlatego, że kochał i rozumiał Indian?” A może zarówno to pierwsze, jak i drugie stwierdzenie znaczy po prostu to samo? Może jest jakiś krąg spraw zarezerwowanych tylko dla wąskiej, jednak absolutnie nie elitarniej grupy ludzi?

### Twarda rzeczywistość

W każdym razie, wracając do współczesności telewizyjnej, TVP weszła w temat i – jak stwierdza Marek Nowocień w swych felietonowych *Zwierzaniach Cienia* („Tawacin” nr 2[30] 1995) – filmów o Indianach w telewizji rzeczywiście sporo. Są jak i w latach sześćdziesiątych obrazy o czasach beznadziejnej walki Indian o przetrwanie, ale – co nowe – pojawiło się także sporo filmów o teraźniejszości – tego dawniej nie było. Obok „Thunderheart”, „Jeźdźca z zaświatów”, „Clearcut” i in., są liczne filmy, w których znalazły się krótsze lub dłuższe epizody indiańskie.

Motyw indiański, jak w „Przystanku Alaski”, służy często wprowadzeniu wątku metafizycznego; stanowi gotowy wzorzec, nie trzeba więc niczego nowego wymyślać, a zadymione wnętrza szalasu potu samo w sobie wystarczą by wyzwoić w widzu świadomość, że oto dzieje się coś w wymiarze już przekraczającym nasze europejskie możliwości doznań. Tak jak atrakcyjny i rozpoznany przez przeciętnego Europejczyka jest świat celtyckich mitów, który swą najwyższą formę przybrał za pośrednictwem J.R.R. Tolkiena, tak indiańska symbolika, choć często rozumiana co najwyżej tylko intuicyjnie, staje się poprzez kulturę masową Stanów Zjednoczonych powszechnie znanym i chętnie przyswajającym nośnikiem pewnych treści emocjonalnych.

Twórcy filmów o współczesności potomków dawnych Indian przyjmują niekiedy postawę protekcjonalnego dydaktyzmu, jak np. w „Jeźdźcu z zaświatów”, choć film ten był kręcony przy znacznym współudziale samych Indian; stanowi on jakby wyliczankę propozycji, czym Indianie mogliby się zająć w rezerwach, a więc hodowla bizonów (również i na eksport!), produkcja ekologicznych nawozów, szkolnictwo, tubylcze radio, zawody sportowe itd.

Z drugiej strony można też epatować widza brutalnością. Taki zamiysł mieli już twórcy „Człowieka zwanego Koniem” i jego kontynuacji. Pisał po premierze jeden z angielskich krytyków, że „sympatyzuje [on] z amerykańskim rządem, który zakazał tego przerażającego rytuału”. Chodzi o osławiony Taniec Słońca. Choć dosłowność w jego przedstawieniu, po późniejszych dokonaniach kina w zakresie brutalizacji obrazu, dzisiaj już nikogo nie zaszokuje, próby podejmuje się dalej. Mimo że trudno wymyśleć coś nowego w tym zakresie, udało się to chyba naszemu utalentowanemu rodakowi, Ryszardowi Bugajskiemu, który w Kanadzie zrealizował „Clearcut”. Jest to film przedziwny, niepokojący, którego intencji i przesłania rzeczywiście trudno się domyśleć. Mnie przekonał Marek Cichomski swą interpretacją z „Tawacinu” nr 1[29] 1995. W pewnym stopniu takie spojrzenie na ów świat, obcy nam swą brutalną bezwzględnością, pokazał film „Czarna Suknia”. Co będzie dalej?

Mówiąc o ostatnich prezentacjach telewizyjnych, chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na film, który prawdopodobnie nam umknął (w „Tawacinie” żadnej reakcji on nie wywołał), kanadyjski 4-odcinkowy serial „Zmowa milczenia”. Film, który w ostry i bolesny sposób pokazuje miejsce Indianina w społeczeństwie, tutaj kanadyjskim. Na przykładzie brutalnego gwałtu i odrażającego zabójstwa młodej Indianki–uczennicy, jest ukazany stosunek białej społeczności do „sprawy indiańskiej”: solidarność białych (w tym przynajmniej przypadku), z drugiej strony lęki i kompleksy Indian, chcących znaleźć dla siebie miejsce w tej społeczności i normalnie w niej żyć. Nasuwa się skojarzenie, nie oryginalne

zresztą, z warunkami polskimi, gdzie Romów (czyli Cyganów, jak dawniej się mówiło) traktuje się bardzo podobnie, nawet tych zasiedziały. Nie mówiąc już o Cyganach rumuńskich.

### „Gdzieś za malowniczym górskim horyzontem”

Przypomniało mi się stwierdzenie, które swego czasu wypowiedział Marek Nowocień omawiając „Tańczącego z Wilkami”; zapamiętałem je, gdyż był to jeden z pierwszych „Tawacinów” (nr 2[19] 1992), jakie otrzymałem. Ze zdaniem tym wówczas, a teraz tym bardziej, zgodzić się nie mogę. Otóż zarzucał autor filmowi, iż ma on „jedną istotną wadę – nie daje choćby cienia nadziei na przetrwanie tego indiańskiego świata, który tak urzekł Tańczącego. Swoim melodramatycznym przesłaniem nie stwarza szans na obecność u progu XXI wieku żywych kultur autentycznych Indian”. Filmowi Indianie rozplynęli się gdzieś „za malowniczym górskim horyzontem”. Dalej pisze Marek Nowocień, że dzisiaj „Indianie nie utracili wiele ze swej dawnej wielkości (...) i mogliby dziś zapewne ofiarować nam więcej, niż kiedykolwiek”. Więcej – to pewno w tym sensie, że dziś jesteśmy bardziej skłonni od nich brać; tak się domyślam.

Choć sądzę że wiem, o co chodziło autorowi i może nawet to rozumiem, nie mogę jednak zgodzić się na takie postawienie sprawy, gdyż fałszuje to faktyczny obraz. Tak, Indianie żyją, rozbudza się pośród nich samoświadomość, odczuwają oni – z tego co czytam – potrzebę powrotu do swych korzeni silniej teraz niż kiedykolwiek, w zakresie obrzędowości, stylu życia, a nawet w sferze światopoglądowej. Tak, można zdobyć się na optymizm.

Ale, jest właśnie owo ale. Nie będzie już nigdy kontynuacji, prostej kontynuacji XIX-wiecznych tradycji, gdy ludy indiańskie przynajmniej na Zachodzie Ameryki żyły jeszcze wolno. Ich ówczesną świadomość kształtował twardy byt, więcej: całe ich życie i fizyczne, i duchowe (obie te sfery były silnie sprzężone) wynikało z reguł przyrody, z dostosowywania się do nich. Pojawienie się białych, najpierw z końmi, potem z bronią palną i alkoholem, diametralnie zmieniło ich życie.

Obyczaje i kultura duchowa uległy wzbogaceniu dzięki z jednej strony łatwiejszemu teraz zdobywaniu pożywienia, a z drugiej kulturowemu oddziaływaniu przybyszów zza oceanu. Końcowym efektem było jednak zniewolenie, choć to przyszło później.

Zamknięcie w rezerwach to ograniczenie wolności i swobodnego przemieszczania się, które było tak ważne dla koczowniczych plemion, stanowiło o ich egzystencji. Ale przede wszystkim pociągnęło za sobą przymusową bezczynność. Polowania i wojny międzyplemienne, stanowiące treść indiańskiego życia, skończyły się. To spowodowało daleko idące zmiany w świadomości Indian. Próbowaly jeszcze rozwijać się takie ruchy mistyczne jak peyotyzm, Taniec Ducha, ale raczej bez powodzenia. Teraz może mszczą się oni na białych przez hazard i New Age, ale to też całkiem odrębna sprawa.

Tych Indian, jacy wędrowali za bizonami po prerii, już nie ma i nie będzie. Jak pisał Frederick W. Turner III w znakomitym wstępie do *Geronima żywota własnego*: „Zagłada kultur jest procesem nieodwracalnym, a ponieważ zniszczyliśmy w decydującej mierze większość kultur indiańskich, czerwonoskórzy będą musieli wytworzyć nową kulturę, jeśli chcą się podnieść z vegetacji, na którą tak cynicznie ich skazaliśmy”. Ale będzie to kultura już inna, nowa i całkiem odmienna od tamtej, choć pewne wzorce czerpać z niej z pewnością będzie. Trzeba się z tym pogodzić, jeśli ma ona istnieć w ogóle, w jakiegokolwiek formie. Oby tak było i oby efektem takiego mariażu stała się rzeczywistość nowa wartość, odżywcza dla gwałtownie poszukującej drogowskazów, naszej schyłkowej już podobnie cywilizacji. Nie ma natomiast żadnych szans powodzenia „nakaz powrotu do przepasek na biodrach, tortur jako próby męstwa czy okaleczania za naruszenie normy społecznej”.

W tym sensie Lakotowie towarzyszący porucznikowi Dunbarowi naprawdę zniknęli „gdzieś za malowniczym górskim horyzontem”. I czy tego chcemy czy nie, zniknęli na zawsze. Zostaliśmy sami ze swymi wyobrażeniami, a dumni dziś znowu Lakotowie, zostali ze swoją historią. □

Jan Szturc

# Zrozumieć Indian

Zima jak żadna inna pora roku zmusza do refleksji nad życiem. Długie wieczory skłaniają do czytania zaległych lektur, powtórnego wertowania starych tekstów. Przeglądając „Tawaciny” zauważyłem, że w gruncie rzeczy tematyka indiańska ogranicza się tylko do opisu wierzeń, historii i problemów współczesności. Nie spotkałem zaś żadnej próby zrozumienia światopoglądu Indian, a przecież aby ich świat uczynić bliższym, nieodzowne mi się wydaje spojrzenie nań przez „indiańskie okulary”. Celem tego artykułu jest właśnie próba zbliżenia się do tego całkowicie odmiennego oglądu rzeczywistości. Oczywiście sposobu postępowania świata nie należy mylić z Wiedzą Tajemną będącą w posiadaniu kapłanów, ezoteryków czy szamanów. Czasem jednak byłem zmuszony wkroczyć w ten tajemniczy świat, aby lepiej wypuklić istotę myślenia analogicznego, stosowanego przez wszystkie Ludy Pierwotne. Bardzo trudno jest pokazać w sposób zadowalający drobny wycinek wiedzy, nie poruszając jednocześnie całego skomplikowanego systemu zależności i powiązań. Oczywiście nie wyczerpię tutaj zagadnienia, bo jest ono bardzo rozległe. Chciałbym tylko pokazać przepaść dzielącą Nasz, racjonalny sposób myślenia od postrzegania świata przez Indian.

## O myśleniu magicznym

Zasadniczym czynnikiem różnicującym Cywilizację Zachodu od Kultury Pierwotnej jest ich sposób widzenia rzeczywistości. Każda społeczność do normalnego funkcjonowania potrzebuje zwanego systemu opisującego i porządkującego naturę zjawisk występujących we wszechświecie. Dla potrzeb tego artykułu, system stosowany przez Ludy Pierwotne będę nazywał „magicznym”, natomiast stosowany przez nas – „naukowym”. Aby lepiej uchwycić tę różnicę, należy wyjaśnić kilka pojęć.

Wszelkie zjawiska istniejące na tym świecie mają naturę biegunową. Dobro i zło, piękno i brzydota, ciepło i zimno – są tego najlepszym

przykładem. Można zatem przyjąć, że życie toczy się pomiędzy dwoma biegunami, że właśnie one tworzą napięcie potrzebne do rozwoju. Ta odwieczna walka światła z ciemnością, życia ze śmiercią była inspiracją do wyjaśnienia praw rządzących Kosmosem. Poprzez wnikliwą obserwację i doświadczenie intuicyjne zaczęto systematyzować otaczający świat.

Ludy Pierwotne wytworzyły system oparty na instynkcie i intuicji, który swym charakterem bliski jest żeńskiemu pierwiastkowi Yin lub Astrologicznemu Księżycowi. Polega to na syntezy zjawisk, pojmowaniu świata jako całości, dostrzeganiu tożsamości treści w jej różnych formach. Jest to więc system skierowany do wewnątrz, introwertyczny, przez kultury starożytne zwany ezoterycznym. Ten prymitywny system myślenia jest w nas głęboko zakorzeniony i żadna szkoła czy też wychowanie nie jest w stanie go zniszczyć.

Na przeciwnym biegunie stoi system myślenia, który leży u podstaw naszej cywilizacji. W uproszczeniu można przyjąć, że myślenie naukowe oparte jest na zasadzie logiki Arystotelesa, czyli że zjawiska połączone są ze sobą długimi łańcuchami przyczynowo-skutkowymi. Uznaje ono tylko to, co racjonalne, rozumne, poddające się konkretnej analizie. Jest to myślenie nakierowane na zewnątrz, esktrawertyczne, przynależne męskiemu pierwiastkowi Yang, Słońcu lub lewej półkuli mózgu.

Podobnie jak myślenie „naukowe” pozwala dostrzegać związki na płaszczyźnie „poziomej”, tak myślenie „magiczne” widzi praelementy przebiegające „pionowo” przez wszystkie płaszczyzny, na których się przejawiają. Niezdolność „naukowców” do myślenia analogicznego, „pionowego” zmusza ich do ciągłego szukania zależności na wszystkich płaszczyznach z osobna. Wyobraźmy sobie szereg różnych przedmiotów wykonanych z tego samego tworzywa. „Naukowiec” badając je będzie się sugerował innością form i nie dostrzeże analogii w treści. Człowiek „magiczny” natomiast będzie odczuwał wspólną więź łączącą te przedmioty.

Podsumowując należy uznać, że oba te systemy, uzupełniając się, tworzą człowieka bogatszym. Jednak to, przez który z nich odbieramy świat, decyduje o drodze, którą podążymy do obranego celu. Doskonałym przykładem będzie rozpalanie ogniska w czasie deszczu. Czynność tę można wykonać równie sprawnie, ale według całkowicie odmiennego toku myślenia. Osoba myśląca naukowo będzie szukać suchej podpałki, ponieważ wie, że utajony proces parowania wchłoniętej wody utrudniłby zapłon. Osoba myśląca magicznie podejmie taką samą decyzję, ponieważ wie, że żywioły ognia i wody są z natury wrogie i reprezentują niekomplementarne moce. Widać tu, że obydwa sposoby postrzegania rzeczywistości, przenikając się nawzajem, dochodzą do tego samego celu. Jednak próby przełożenia wartości magicznych na język logiki są skazane na niepowodzenie. Paradoksem jest jednak to, że subiektywne prawdy magiczne w dużo mniejszym stopniu ulegają wpływom czasu niż obiektywne prawdy naukowe. Właśnie to, że te światopoglądy są tak diametralnie różne jest przyczyną trudności we wzajemnym rozumieniu się.

Dlatego też sądzę, że my, miłośnicy Indian, wychowani jednak na przyczynowo-skutkowym modelu myślenia musimy tym bardziej uznać tę odmienną i przejawiać więcej pokory w trakcie odprawiania indiańskich obrzędów, ponieważ mechaniczne naśladownictwo bez należytego rozumienia praw rządzących tymi obrzędami, czyni je formą pozbawioną treści. Naśladowanie Idola i wzorowanie się na nim jest pewną formą nauki, a więc czymś pozytywnym, natomiast udawanie go jest objawem niedojrzałości, chęcią ukrycia własnej osobowości pod maską kogoś lepszego, silniejszego. Ta krytyczna uwaga dotyczy także autorów piszących o życiu duchowym Indian. Są to teksty doskonałe naukowo, jednak nieistotne z magicznego punktu widzenia. Można się z nich wiele nauczyć, ale nie można zrozumieć światopoglądu Indianina. Najczęstszym błędem popełnianym przez tych badaczy jest skłonność do szufladkowania, definiowania, porządkowania wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu ich zmysłów. Jest to zresztą znamienne dla naszej cywilizacji. Zapominają oni jednak, że Indianie myślą „subiektywnie”, czyli że ich myślenie jest bliższe odczuciu, a przez to niekonkretne, rozmyte. Dlatego nie należy przy opisie obrzędu stosować sztywnych reguł „musztry”. Równie dobrze można by siekierą dzielić wodę.

Przygotowując rytuał, szaman bierze pod uwagę przede wszystkim swoje odczucia, a dopiero później ogólne normy przyjęte przy tradycje. Biorąc to pod uwagę nie będzie dziwił fakt, że dany obrzęd będzie wyglądał odmiennie, zależnie od grupy, której ma służyć, a także od szamana, który go przeprowadza. Jednak również ów szaman może ten sam rytuał przeprowadzać za każdym razem nieco odmiennie, ponieważ musi brać pod uwagę zmiany zachodzące we wszechświecie. Wówczas ten układ staje się dynamiczny, wrażliwy na tętno Natury. Dlatego, wszelkie ceremonie, rytuały czy ich opisy tworzone przez ignorantów, kurczo trzymających się sztywnych reguł są w swej naturze martwe, pozbawione Sensu.

Autor jednego z artykułów, który tak ostro reaguje na wszelkie uchybienia związane z rytuałem Fajki (zob. „Tawacin” 4[28], zima 1994), w gruncie rzeczy stoi na straży „trupia” tego obrzędu. Życie przejawia się w ciągłym ruchu, przemianie, rozwoju. Żywe odpowiadanie na zew Kosmosu jest właśnie istotą obrzędu. Ten, kto hołduje tylko skostniałym regułom, nigdy nie zbliży się nawet do jego istoty.

Na przykładzie zaczerpniętym z książki Jana Szczepańskiego *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną* postaram się wyjaśnić sens pionowego, „magicznego” myślenia.

Rzymski Nos posiadał moc, daną mu przez szamana Białego Byka poprzez odpowiedni rytuał magiczny, dzięki której kule nie mogły go osiągnąć. Jednym z zakazów, jakich musiał przestrzegać był zakaz spożywania posiłków „skażonych” żelazem. Już samo to dziwne tabu nie daje się w żaden sposób „naukowo” wytłumaczyć, a jeszcze dziwniejsze wyda się to, że na podstawie tej informacji można domyślić się szczegółów owej diety.

Jak już wspominałem wyżej, wszelkie rzeczy i zjawiska stanowią zbiór pewnych Mocy (treści) przyobleczonych w różne formy. Znając naturę formy można z całą pewnością określić jej przynależność do danej Mocy. Tak więc zakaz przyjmowania „żelaza” nie ogranicza się tylko do jego materialnej formy, lecz dotyczy również wszelkich rzeczy posiadających naturę „żelazną”. Owe tabu będzie więc dotyczyło przyjmowania mięsa drapieżników, gryzoni, roślin „parzących” np. cebula, pokrzywy, jak również wszelakiego jadła „czerwonego”.

Na tym przykładzie jasno widać, że to, co dla Indianina myślącego analogowo, pionowo wyda się naturalne jest całkowicie niezrozumiałe



miałe dla człowieka myślącego racjonalnie. Dlatego też ludzie Zachodu, próbujący naśladować Indian, tak kurczowo trzymają się utartych schematów postępowania. Po prostu wyjście poza nie jest dla nich krokiem w niezmierną pustkę.

Na zakończenie tej części chciałbym zwrócić uwagę na uniwersalność i wszechobecność tej „prymitywnej” wiedzy. Znana była ona kulturom starożytnym i wszystkim ludom pierwotnym od zarania dziejów. Oczywiście, każda z tych społeczności wytworzyła zrozumiały tylko sobie język mitów, by za ich pośrednictwem uznać Prawdę przekazać następnym pokoleniom. Dlatego też, starałem się szerokim łukiem omijać terminy przynależne kulturze indiańskiej, tj. Wielki Duch, Ptak Grzmotu itp. ponieważ są one dla mojej podświadomości nic nie znaczącymi nazwami.

Nie znaczący to oczywiście, że brama do zrozumienia zasad rządzących światem Indian będzie dla mnie zamknięta, ponieważ to, co dla Indianina ukryte jest pod symbolem np. Północnego Wiatru, ja odnajdę w postaci Saturna. Nazwy się zmieniają – treść pozostaje niezmiennie ta sama. To w formie wyraża się treść i przez nią forma staje się pełna znaczeń.

### O jakości czasu

Aby wgrzyźć się w ten temat, należy zastanowić się, czym właściwie jest Czas. W naszym wyobrażeniu, na ogół czas przypomina rzekę płynącą „równo i bez związku z czymkolwiek zewnętrznym” (Newton), a nasze życie jest krótką wędrówką brzegiem, zgodnie z jej nurtem. Einstein powiązał czas z przestrzenią i uzależnił od niej, lecz nadal pozwolił mu płynąć liniowo i w jednym kierunku. Obecnie rozważana jest koncepcja czasu płynącego wstecz (R.P. Feynman). Jeszcze dalej poszedł H. Margenau, który proponuje wprowadzenie pojęcia czasu wielowymiarowego. S. Hawking pisze: „teoria względności doprowadziła do unieważnienia idei czasu absolutnego...” Wszystkie te koncepcje rozważają problem czasu w ujęciu ilościowym. Jednak czas to nie tylko Ilość (*Chronos*), lecz również Jakość (*Kairos*). Można też przyjąć, że ilościowy aspekt czasu preferowany jest głównie przez cywilizację Zachodu, a jakościowy bliższy jest myśleniu magicznemu. Gdy mówimy „Jakość czasu”, nie powinniśmy mieć na myśli jednostki czasu zwaną minutą czy miesiącem. Oznacza to natomiast,

że w określonym momencie mogą urzeczywistnić się tylko te wydarzenia, których zawartość jakościowa odpowiada danej jakości czasu.

Twórca psychologii głębi, C.G. Jung pisał: „Cokolwiek powstaje lub zdarza się w tym momencie czasu, ma cechy tego momentu...” Oznacza to, że zdarzenie, jakim jest np. podpisanie umowy – ma cechy jakości czasu, w którym to nastąpiło, a skutki tego będą rozciągnięte w czasie tak długo, jak dana umowa będzie obowiązywała. „Każdy początek niesie w sobie swój koniec”. Ta zasada ezoteryczna sugeruje, że w momencie zaistnienia wydarzenia, ustalony jest już jej przebieg i zakończenie. Zatem podejmując kluczową decyzję warto jest znać jakość czasu. Niestety, nasze racjonalne myślenie nie uwzględnia tego aspektu czasu, ponieważ jest niewymierny, nie podlegający teorii przyczynowości. Indianie, jak również inne społeczności, czerpali zaś wymierne korzyści stosując tę wiedzę.

Urodziny dziecka stanowią również pewne kosmiczne wydarzenie, więc znając jakość czasu w chwili narodzin, możemy domniemywać o „planie zajęć”, jakiemu będzie podlegał nowo narodzony. Oczywiście droga, jaką do celu pądy będzie jego wyborem. Każdy z nas nosi ten swoisty horoskop w każdej komórce własnego ciała. Można wręcz powiedzieć, że struktura genetyczna jest materialnym przejawem jakości czasu, dzięki której człowiek nigdy „nie zapomni” o pracy, którą musi wykonać. Albowiem wszystko tkwi we wszystkim. Jajko zawarte jest w kurze, a kura w jajku. My jesteśmy we wszechświecie, a wszechświat jest w nas.

Ażeby nie zagłębiać się zbyt głęboko w rozważania filozoficzne, przyjmijmy że nie mamy wpływu na miejsce, ani czas swoich narodzin. Moment czasu, w którym to nastąpiło, z naszego punktu widzenia nie zawsze jest korzystny, jednak posiadając wolną wolę, do pewnego stopnia można łagodzić lub nawet zmieniać zaistniałą sytuację.

Stara alchemiczna formuła głosząca, że „jak na górze, tak i na dole”, pozwala zrozumieć, dlaczego obserwując makrokosmos poznajemy mikrokosmos. Oczywiście indiańscy szamani nie znali astrologii, jednak znając powyższe prawo, mogli równie skutecznie „zaglądać w czas” za pośrednictwem innej płaszczyzny odniesienia. Były to metody opierające się bardziej na wglądzie intuicyjnym. Na przykład, uchwycenie pewnych specyficznych zachowań ptaków w czasie lotu nasuwa przypuszczenie o „du-

chu”, który w danym momencie panuje w Kosmosie. Na zasadzie analogii można zatem być pewnym, że dziecko, które w tym momencie przyjdzie na świat, będzie również pod wpływem tegoż „ducha”. Wróćmy do opisu natury „żelaza” z poprzedniego rozdziału i spróbujmy przenieść jego „ducha” na nasz przykład. Wówczas pikujący jastrząb będzie obrazem panującej energii żelaza, a rodzące się dziecko będzie posiadało „żelazną” naturę. Niewykluczone też, że rodzice nazwą go Pikującym Jastrzębiem. Oczywiście, cały ten proces myślowy przebiega poniżej progu świadomości i nie zawsze można to zanalizować i uzasadnić.

Posiadając takie podejście do życia, Człowiek Pierwotny będzie zapewne pogodzony z losem, ponieważ wie, że to nie on jest Panem Świata, że nie ma powodu czuć się wyróżnionym, że wreszcie podlega prawom wspólnym dla całego Wszechświata. Może teraz zwrot „To dobry dzień [czas] na umieranie” – w uszach Indianina wyda się bardziej zrozumiały.

Niestety, dla ludzi Zachodu nie ma dobrego czasu na śmierć, każdy czas jest zły, więc lepiej podłączyć się pod respirator i udawać „warzywo”, niż iść na spotkanie z Bogiem. W Tybetańskiej Księdze Umarłych czytamy: „Kto nie posiadał umiejętności umierania, nie będzie umiał żyć...” Myślę, że gdyby maksymę tę odwrócić, byłaby równie prawdziwa.

### O kwestii indiańskiej

W kontekście tego, co wyżej napisałem nie zdziwi zapewne nikogo moje odmienne stanowisko dotyczące sytuacji Indian. Mianowicie uważam, że gdyby nawet oddano im wszystkie ziemie, przywrócono życie wszystkim bizonom, a Leonarda Peltiera obrano prezydentem USA – nawet wtedy ich życie nie odzyska sensu. Ich problem nie tkwi bowiem w świecie materii. To nie straty ziem plemiennych uczyniły ich żebrakami, nie brak dolarów jest powodem ich cierpienia, to również nie życie w rezerwach spowodowało ich degenerację. Stracili coś bardziej wartościowego, stracili to, czego nie można przywrócić. Utracili mianowicie owo magiczne, naturalne widzenie rzeczywistości. Nagle ich świat pogrążył się w chaosie, nagle stracili orientację, zagubili się w nieznanym, logicznym, twardym świecie białego człowieka<sup>1</sup>. To, co niegdyś było pełne treści, dziś pozostało pustą nazwą. Różnica między współczesnym Indianinem a jego dziadkiem jest taka

jak między wydmuszką a jajkiem. Treść została wyssana i zastąpiona dziwną martyrologiczno-mesjanistyczno-blichtrawą miksturą. Ten sztuczny produkt rozpacz, buntu i niewiary jak wszystko co nienaturalne, nie ma możliwości rozwoju, a jego chore owoce można oglądać w rezerwach. Podobnie jak nam trudno zrozumieć ich analogiczny sposób postrzegania, tak im zapewne również trudno uporać się z naszym przyczynowym spojrzeniem na świat. Polecam tutaj znakomity tekst Wilfa Pelletiera „Indiański czas” („Tawacin” nr 4[28], zima 1994).

Dlatego chybione wydają się próby niesienia pomocy Indianom w formie petycji, listów poparcia czy paczek z darami, bowiem są sprawy o które nie należy walczyć. Wszystko ma swój cel i określony czas na jego realizację. Cierpienie jest jedną z dróg do odrodzenia. Podobnie jak ziarno, zanim wypuści pędy i przeistoczy się w roślinę, ulec najpierw musi procesowi rozkładu. To przecież na zgniliznie rosną najpiękniejsze kwiaty. Święto Bożego Narodzenia, zwiastujące narodziny Jasności, nie przypadkowo zapewne usytuowane zostały w czasie, gdy noc osiąga apogeum. Z tych przykładów wynika, że w naturalne procesy nie należy ingerować, nie przeszkadzać w spełnieniu celu, jakim jest transformacja. Dlatego też uważam, że walka z Losem rozprasza tylko i spowalnia jego realizację. Wahadło musi najpierw osiągnąć maksymalne wychylenie aby ruszyć w przeciwną stronę.

System, w którym żyjemy, przygotowuje nas do walki ze światem. Walczymy o zdrowie, o pokój, o lepsze jutro, prowadzimy wojny z głodem, ubóstwem bezrobociem, nawet o bułki cukrowe tocymy kampanie. Takie waleczne podejście do życia jest przejawem buntu przeciwko dwoistości Natury, a przecież bez choroby nie wiedzielibyśmy, czym jest zdrowie, bez nocy dzień byłby czymś niedostrzegalnym, dobro widoczne jest tylko na tle zła.

Może właśnie ta symboliczna śmierć Indian pozwoli nam zrozumieć, czym naprawdę jest życie? Może właśnie na tym polega ich misja we wszechświecie? □

Jacek Konieczny  
zima 1996

1. Ich naturalny sposób postrzegania miał pewne cechy upojenia alkoholowego: miękkość, niekonkretność, płynna granica między tym, co jest świadomością „ja” a otoczeniem. Dlatego pijanstwo jest naturalną chęcią powrotu do tego świata, jak również próbą rozcieńczenia niestrawnej rzeczywistości.

# Z ZIEMI INDIAN

serwis informacyjny

Leonard Peltier  
nie otrzymał zwolnienia warunkowego

Leonard Peltier, działacz Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) po raz kolejny nie uzyskał prawa do zwolnienia warunkowego, pomimo opinii urzędnika, że jego rola w zabójstwie dwóch agentów FBI w 1975 roku została wyolbrzymiona.

W uzasadnieniu Komisji d/s Zwolnień Warunkowych z dnia 18 marca br. czytamy: „Komisja odmawia ponownego rozpatrzenia Pańskiej sprawy pod kątem Pana roli w przestępstwie, ponieważ brak po temu znaczących zmian w dokumentacji dotyczącej tego wydarzenia od ostatniego Pana wniosku o zwolnienie warunkowe.

Rząd [Stanów Zjednoczonych] nie zmienił swego stanowiska, że dokumentacja przedstawiona w czasie procesu wykazała Pański współudział w egzekucji agentów.”

Decyzja Komisji, będącej biurem Departamentu Sprawiedliwości USA, nie podlega zastrzeżeniu. 2 czerwca 1977 roku Leonard Peltier otrzymał wyrok podwójnego dożywocia w następstwie śmierci dwóch agentów FBI, Jacka Colera i Rona Williamsa podczas strzelaniny w Oglala na terenie rezerwatu Siuksów Pine Ridge. Leonard Peltier jest obecnie uwięziony w Springfield w stanie Missouri.

Komitety Obrony Leonarda Peltiera (LPDC) i inne grupy poparcia przyjęły opinię urzędnika, iż rola Peltiera została wyolbrzymiona, jako pozytywny krok w stronę uwolnienia działacza, który przebywa w więzieniu już dwadzieścia lat. Grupy poparcia uważają, że Komisja zaniedbała swych obowiązków, aby sprawiedliwość stało się zadość.

– Jesteśmy bardzo rozczarowani – powiedział Larry Schilling, jeden z adwokatów Peltiera w Nowym Jorku. – To wielka niesprawiedliwość i dołożymy wszelkich starań, aby w końcu uzyskać jego zwolnienie.

Komitety Obrony Leonarda Peltiera poinformował, że urzędnik, który wydał tę przychylną opinię został zwolniony z pracy.

„Wychodzi na to, że zamiast rozpatrzyć fakty związane ze skandalicznym więzieniem Peltiera, Komisja d/s Zwolnień Warunkowych woli ukarać własnego pracownika za przekroczenie swych uprawnień, aniżeli pochwalić go za społeczne rozeznanie” – czytamy w oświadczeniu Komitetu Obrony dla prasy.

Rzecznik Departamentu Sprawiedliwości, Joe Krovisky potwierdził, że urzędnik, który wydał tę opinię o wyolbrzymionej roli Peltiera, stracił pracę.

Oświadczenie Leonarda Peltiera  
z 20 marca 1996 roku

Witajcie, Przyjaciele i Sympatycy

Chciałbym Wam dziś podziękować za Waszą pilność, oddanie i poparcie, a także rozszerzyć swoje życzenie nastania pokoju i sprawiedliwości. Minęły ponad dwa dziesięciolecia bez rozwiązania wydarzeń, które zdarzyły się 26 czerwca 1975 roku. Moje serce wciąż wypełnia ból względem rodzin, które straciły swoich ukochanych, tracących przedwcześnie własne życie. Jeżeli będziecie się dziś modlić, proszę, pamiętajcie o tych rodzinach.

Nikt nie powinien umrzeć 26 czerwca. Wszakże będę wspominał ten dzień jako tragedię. Trzech młodych mężczyzn, trzy dobrze zapoznane się życia zostały usunięte ze świata z powodu poczucia siły i bezkarności FBI, prawnie zagwarantowanej przez rząd Stanów Zjednoczonych. Przez wiele lat walka w Pine Ridge narastała do coraz bardziej poważnego stopnia, w miarę jak FBI interweniowało, zbroiło i szkoliło okrutnych ludzi, automaty i coraz to bardziej wyszukanej broni. Narastało to w miarę jak FBI zwróciło się ku tradycyjnym ludziom mordując ich i atakując, paląc doszczętnie ich domy, znęcając się nad ich dziećmi i starcami.

Starszyzna plemienia poprosiła nas [AIM – przyp. red.] o przybycie do Pine Ridge i udzielenie pomocy tym walczącym ludziom, którzy znaleźli się w jakże rozpaczliwej potrzebie zyskania poparcia. Nie proszono nas o to, byśmy byli bandytami czy mordercami. Nie chcieliśmy stosować przemocy. Chcieliśmy po prostu być tam ze względu na naszych ludzi.

Dwadzieścia lat później nadal pozostają uwięzieni mimo tego, że rząd przyznaje, iż nie istnieje żaden dowód świadczący przeciwko

mnie i potwierdzający, że jestem winny cokolwiek innego poza tym, że w 1975 roku byłem w Pine Ridge. Jestem więźniem ponieważ wierzę, że musimy wstawić się za tych mniej szczęśliwych, że nasze głosy mogą być wysłuchane za tych, którzy głos utracili. Pozostaję za kratami ponieważ reprezentuję ponad 500 lat ucisku. Jestem zamknięty ponieważ FBI i rząd Stanów Zjednoczonych bardziej woli zamknąć w klatce niewinnego człowieka, który znał coś dla Ruchu [Indian Amerykańskich], niż ścigać kogoś innego.

Dzisiaj poświęcam się by zwrócić na mnie uwagę. Ja nie mogę nawet podziękować Wam za Waszą dobrą wolę i odwagę. Proszę zapamiętać moje wołanie o pokój i sprawiedliwość. My musimy być silniejsi niż przemoc. Musimy być lepsi niż oni.

Oby Stwórca czuwał nad Wami  
W duchu Szalonego Konia

Leonard Peltier

Apacze żądają od prezydenta Clintona  
dotrzymania obietnic

Za Stany Zjednoczone walczyło i zginęło wielu Apaczów. Pierwszą ofiarą wojny w Zatoce Perskiej był Apacz San Carlos. Apacze walczyli w szeregach armii USA na terenie Niemiec i Włoch, a także należeli do korpusu radiotelegrafistów podczas II wojny światowej.

Podczas niedawnego pogrzebu [w marcu br.] weteranki wojennej, pani Janie Ferreira, odżyły troski o prawo wolności religijnej Indian w Stanach Zjednoczonych. Janie Ferreira była jednym z założycieli Koalicji Przetwarzania Apaczów (Apache Survival Coalition) i całe swoje życie poświęciła zachowaniu tradycyjnej religii i kultury swego narodu. Najbardziej niepokoił ją brak szacunku wobec apackich weteranów wojennych, okazywany przez Stany Zjednoczone. – To kolejna zdrada! – mówiła.

– Obiecuję kontynuować swe wysiłki zmierzające do ochrony przysługujących wam praw do pełnego praktykowania waszej religii – powiedział prezydent Bill Clinton do zebranych w Białym Domu indiańskich przywódców w dniu 29 kwietnia 1994 roku. – Żadne zapisy o wolności religijnej nie będą pełne, dopóki tradycyjne praktyki religijne tubylczych Amerykanów nie otrzymają należytej im ochrony.

Pracownicy Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych przyznali, że wiedzieli o świętym cha-

rakterze Góry Graham dla Apaczów, zanim jeszcze przystąpiono do planów budowy teleskopu na jej szczycie. Tradycyjni przywódcy religijni wystosowali do prezydenta Clintona petycję, w której czytamy:

„My, niżej podpisani duchowi przywódcy Apaczów uznajemy święte znaczenie *dził nchaa si an* (Góry Graham) dla tradycyjnych praktyk religijnych naszego ludu. Sprzeciwiamy się budowie teleskopu Mt. Graham, ponieważ zakłóci to możliwość swobodnego praktykowania religii przez tradycyjnych Apaczów.”

W ciągu ostatnich 9 lat z projektu budowy teleskopu wycofali się wszyscy udziałowcy (głównie uniwersytety) ze Stanów Zjednoczonych, oprócz Uniwersytetu Arizony. Pozostali jedynie zagraniczni astronomowie z Niemiec, Włoch i Watykanu.

– Nie dziwi nas, że Kongres woli popierać zagranicznych inwestorów aniżeli swoich mieszkańców – powiedziała Ola Cassadore Davis, członkini Koalicji Przetwarzania Apaczów. – Zaskoczeni jesteśmy tylko tym, że na przekór swym obietnicom, prezydent Clinton nie zwraca dziś uwagi ani na oświadczenia naszych przywódców duchowych, ani na uwagi administracji amerykańskiej Służby Leśnej. Okłamując nas i budując teleskop na Górze Graham, prezydent Clinton robi to, co nie udało się poprzednim pokoleniom – pogrzebie Apaczów na zawsze.

Sierżant Kenneth Bread, członek Organizacji Weteranów Apaczów San Carlos, zwrócił się do mieszkańców Niemiec i Włoch, aby nakłonili swe rządy do wycofania się z projektu.

– Modlimy się, aby rodziny i przyjaciele Niemców i Włochów, z którymi walczyliśmy podczas II wojny światowej, wysłuchali naszych prośb i zachęcili swoje rządy do okazania szacunku naszym wierzeniom – powiedział.

Święte tereny indiańskie  
zagrożone

Jedynie istniejące w Stanach Zjednoczonych prawo chroniące święte miejsca, religijne zakątki i tradycyjne kulturowe wartości stało się celem zjadliwych ataków. Radykalne prawo słuźności interesów wprowadza spokojnie ustawę do Kongresu, która może zakończyć historyczną ochronę wszystkich tradycyjnych obszarów tubylczych i świętych miejsc. Ustawa H.R. 563 może zastąpić „Ustawę o historycznej zachowawczości” poprzez wyjęcie spod



ochrony wszystkich naturalnych terenów, które nie były „modyfikowane” lub nie posiadają archeologicznych wykopalisk. Oznacza to, że jeśli jezioro, góra, rzeka, drzewo lub inne miejsce ma swoje sakralne znaczenie dla Indian, ale nie ma widocznych gołym okiem śladów bytności człowieka w postaci ruin, grobów itp. – nie może być chronione ustawą. Dotyczy to, na przykład, Góry Graham i wielu innych miejsc na zachodzie Stanów Zjednoczonych, które wykorzystywane są dla celów ceremonialnych lub jako miejsca zgromadzeń, nie powodujących trwałych zmian w otoczeniu. Wymierzone jest to przeciwko tradycyjnym miejscom religijnym. Może to też dotyczyć pól bitewnych i innych „historycznych” miejsc, na których nie znaleziono przedmiotów sztuki, szczegółowo określonych przez antropologów.

Ustawa ta jest szczególnie wymierzona przeciwko górze Shasta w Kalifornii, wokół której toczy się obecnie batalia prowadzona przez kongresmana Hergera. Święty charakter tej góry uznają liczne plemiona w północnej Kalifornii, a ostatnio także zachodnie grupy religijne. Z kolei Ustawa jest doskonałym przykładem nacisku osób prywatnych na ustawodawstwo, zmierzających do zmian ustaw zatwierdzonych i akceptowanych przez społeczeństwo.

### Szozsoni Timbisha mają opuścić Dolinę Śmierci

W marcu 1996 roku urzędnicy Służby Parku Narodowego i Biura Zarządu Ziemi poinformowali grupę Szoszonów Timbisha, że na mocy decyzji sekretarza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Bruce’a Babbitta, mają opuścić ostatni skrawek swej tradycyjnej ojczyzny w kalifornijskiej Dolinie Śmierci. Sekretarz chce zmusić grupę do opuszczenia obozu o powierzchni ok. 12 hektarów, do którego zostali przesiedleni w 1933 roku za prezydentury Hoovera, kiedy zabrano im ziemię w celu utworzenia Parku Narodowego Doliny Śmierci.

Choć oficjalnie mówi się o chęci rozszerzenia Parku i udostępnienia go licznie tu przybywającym turystom, to mieszkańcy obozu podejrzewają, że bezpośrednim powodem usunięcia ich stamtąd jest plan budowy kopalni złota, zlokalizowanej pośrodku ich pierwotnego terytorium.

Sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta, plemię wstąpiło na drogę sądową i oczekuje wsparcia. „Jeśli nasz rząd może przywrócić sprawiedliwość w Bośni – napisali w apelu członkowie plemienia Szoszonów Timbisha – to jest też w stanie przywrócić prawo w Dolinie Śmierci”.

### Zjednoczona Europa nie chce indiańskich skór

Przedstawiciele Ministerstwa do Spraw Indian i Rozwoju Północy spotkali się z przedstawicielami pierwszych narodów Quebecu, aby przedyskutować ekonomiczne i polityczne skutki zarządzeń i handlowych ograniczeń Unii Europejskiej, jakie planuje się nałożyć na futra dzikich zwierząt.

Symposium, którego gospodarzem był naród Indian Huron-Wendat, zgromadziło ponad 70 przedstawicieli 11 pierwszych narodów, przemysłu futrzanego, rządu federalnego i prowincji oraz nie-tubylczych traperów.

Nowe regulacje Unii Europejskiej, które wchodzi w życie od początku tego roku, mogą poważnie ugodzić w interesy zarówno tubylczych, jak i nie-tubylczych traperów.

### Indianie z Saskatchewan Indianom z Nikaragui

Rada plemienia Kri Meadow Lake z Saskatchewan podpisała list intencji z dwoma narodami Nikaragui o możliwości nawiązania stosunków handlowych. List rozpoczyna 12-miesięczny plan pracy z Indianami Miskito i Suma. W sierpniu ub. r. Miskito zaprosili Indian Kri do odwiedzenia Nikaragui i zaproponowali podjęcie wspólnych działań, szczególnie w sektorach leśnictwa i górnictwa. Jesienią Miskitowie odwzajemnili się wizytą w Kanadzie. Nowe przedsięwzięcie nazwane zostało *Makwa*, co znaczy „nur” (rodzaj kaczki) w języku Kri i „ptak powodzenia” w języku Miskitów.

Serwis informacyjny Z ZIEMI INDIAN na podstawie artykułów prasowych z „Indian Country Today”, „Native American News” i „Transition” nadesłanych przez Jacka Piwowskiego z Browning i Micheala T. Benwella z Kahnawake opracowali Marek Cichomski i Marek Maciołek.

## III Przegląd Filmów Indiańskich

W dniach 11-12 maja 1996 roku w Muzeum Etnograficznym w Warszawie odbył się III Przegląd Filmów o tematyce indiańskiej, przygotowany przez warszawską grupę indianistów wraz z Państwowym Muzeum Etnograficznym. Organizatorzy zaprezentowali trzy filmy dokumentalne:

ISHI- OSTATNI YAHİ – reż. Jed Risse i Pamela Roberts. USA 1994.

PAHA SAPA. WALKA O CZARNE WZGÓRZA – reż. Mel Lawrence. USA 1993. (Film ten otrzymał nagrody Golden Gate i Gold Apple w 1994 oraz za najlepszą reżyserię na American Indian Film Festival w 1993.)

GHOST DANCE (1877–1893) – reż. Rick Burns. USA 1995

oraz film fabularny:

OSTATNI INDIANIN – reż. Harry Hook, w roli głównej Graham Greene.

Przegląd filmów uświetniły niewątpliwie pokazy tańców Indian Ameryki Północnej z muzyką na żywo w wykonaniu warszawskiej grupy „Jackalope”, która udanie zaprezentowała swój trzydziestominutowy program muzyczny, a także występy raciborskiej grupy „Los Borachitos” grającej muzykę andyjską. Widzowie mogli zaopatrzyć się w fachową literaturę oraz wyroby rękodzieła „indiańskiego”, a także złożyć swój podpis pod petycję (np. w sprawie Góry Graham czy Leonarda Peltiera).

### BIEG WOLNOŚCI '96

dla Leonarda Peltiera i Ludów Tubylczych  
18 czerwca – 24 lipca 1996

**Odcinek polski:** 29 czerwca – 3 lipca br.

**Trasa:** Zdziezowice–Oświęcim–Kraków–Chyżne–Martin (Słowacja) do Genewy

**1 lipca** – ceremonia rozpoczęcia Biegu Wolności (Góra św. Anny) i oficjalny start w Zdziezowicach (woj. opolskie), spotkania na trasie, zwiedzenie Muzeum w Oświęcimiu

**Koordynator na Polskę:** Marek Nowocień (PSPI), ul. Głowackiego 1 B/18, tel. (074) 154 359

Dodatkową atrakcją była wystawa fotografii autorstwa Leszka Opioli pt. INDIANIE WIELKICH PRERII. O wystawie tej opowiada komisarz wystawy, pani Teresa Walendziak:

Cała historia zaczęła się zimą 1995 roku, gdy w Muzeum Etnograficznym zjawił się człowiek, pokazując kilka zdjęć Indian. Szybko doszło do porozumienia między Muzeum a autorem owych fotografii o organizacji wystawy dotyczącej tubylczych mieszkańców Ameryki Północnej, tym bardziej, że sam autor zaoferował się pokryć koszty związane z reprodukcją swych zdjęć. Tym człowiekiem był pan Leszek Opiola, który od 1985 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych. Od 6 lat jeździ na Pow Wow, na których robi setki zdjęć, umożliwił mu to jego przyjaciel Rino Thunder, rdzenny Amerykanin, znany m.in. z filmów „Indiańska Gwiazdka” czy „Geronimo”.

Pan Leszek Opiola od lat jest zafascynowany kulturą tubylczych Amerykanów, podchodząc do niej z wielkim szacunkiem. Z tej fascynacji powstała wystawa pt. INDIANIE WIELKICH PRERII. Na wystawie możemy zobaczyć około 40 barwnych i czarnobiałych fotografii z Pow Wow. Fotografie te uzupełnia ekspozycja przedmiotów kultury materialnej ze zbiorów Leszka Opioli i Państwowego Muzeum Etnograficznego.

Do 8 września br. wystawę można oglądać w Muzeum Etnograficznym w Warszawie (ul. Kredytowa 1, czynne: wt. czw. pt. 9–16, śr. 11–18, sob.–niedz. 10–17), a następnie w kilku innych miastach Polski, m.in. w Poznaniu i Rzeszowie.

Bartek

### ANDYJSKA FIESTA

VIII Festiwal Muzyki Andyjskiej i Folkowej  
Ząbkowice Śląskie, 28–30 czerwca 1996

**Piątek, 28 czerwca** godz. 17.00 – Kawiarnia ZOK w Rynku – Potlacz Artystyczny – otwierający od kilku lat Fiestę wieczór informacyjno-kulturalny, przygotowany przez członków i sympatyków PSPI

**Zespoły:** Chudoba, Kwartet Jorgi, Sierra Manta, Varsovia Manta, Oeno, Rivendell, Bratia Muchovici, Sabor De Salsa, La Tierra i in.

**Noclegi:** pole namiotowe, internat

**Kontakt:** Ząbkowicki Ośrodek Kultury, tel. (074) 152 896, tel/fax (074) 151 381

Nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza” na rynku polskim ukazała się książka chcąca uchodzić za „opowieść o takim napięciu dramatycznym, iż może się mierzyć z niejedną powieścią przygodową, tyle że miejsce fantazji zajmuje w niej rzetelna prawda historyczna” (cytat z okładki książki).

Aleksander Sudak

## GROCH Z KAPUSTĄ czyli kolejne dzieło o historii Indian

Mowa o książce Zbigniewa Teplickiego *Wielcy Indianie Ameryki Północnej*. Niestety, można jej przypisać wszystko, tylko nie to, że przedstawia „rzetelną prawdę historyczną”. Jest to rzecz z pogranicza rzeczywistości i fikcji, ze zdecydowaną przewagą tej drugiej. Zaczniemy jednak od stylu, w jakim jest napisana. W intencji autora (jeśli się nie mylę) miała być prezentem zarówno dla siedmiolatka, jak i stu-latka, stąd pewnie jego „uf!” po imionach wodzów indiańskich (s. 88 i 147), czy porównywanie Indian do Kozaków zaporoskich („mieli okazję pozyskania mołojeckiej sławy” s. 53; „czub... podobny do oseledca siczowych Kozaków” - s. 89). Nie to jest jednak najważniejsze. W końcu taki Łysiak czy Fiedlerowie też mają swych zwolenników. Najgorsze jest to, że informacje w książce podane są w sposób nieuporządkowany, niechlujny, istny groch z kapustą. Oto tylko trzy przykłady: na str. 159 czytamy o protoplastach Czirokezów, braciach Czatah i Czikasah, co świadczy o niesłychanej ignorancji autora. Ci dwaj herosi dali początek plemionom Czoktawów i Czikasawów, należących do maskogeńskiej rodziny językowej, zaś Czirokezi są członkami irokejskiej grupy językowej. Na str. 190 Jackson „ożenił się z Rachelą [jaką Rachelą?], uprzednio zabijając w pojedynku jej pierwszego męża”. Obydwie informacje potrzebne są chyba tylko do przeładowania tekstu; z lektury str. 218 wynika, że autor utożsamia Mescaleroów z Kiowa-Apaczami, a były to, oczywiście, odrębne

plemiona. Nagromadzenie w danym rozdziale chaotycznych informacji o pochodzeniu, obyczajach, środowisku naturalnym jakiegoś plemienia, jego wybitnych przedstawicieli, białych czy czerwonoskórych adwersarzach może przyprawić o zawrót głowy „nawet do-brego znawcę przedmiotu”, jak pisze autor. Walnie przyczynia się do tego podawanie nazw plemion indiańskich w ich fonetycznym angielskim brzmieniu. Przeciętny czytelnik będzie miał sporo kłopotów ze znalezieniem na amerykańskiej mapie takich plemion jak Mansjowie (Munsee) czy Passamakwopowie (Passamaquoddy). Swoją drogą chciałbym wiedzieć, co to za plemiona umieszczone na mapie ze str. 28: Kernowie Rzeczni z Kalifornii, Kapa-czowie z Nowego Meksyku, Czepakumowie i Kwalhiokwowie z Washingtonu, Honjanson-towie z Ohio. Przenoszenie w ten sposób nazw angielskich na nasz grunt jest czynnością niebezpieczną, mogącą ośmieszyć jej autora, a tak jest w przypadku p. Teplickiego, który zakorzenione w polskiej literaturze nazwy takich plemion jak Abenaki, Potawatomi, Kri, Majamowie zmienia na Abnakiowie, Potawatomiowie, Kriowie, Majamiowie, z czego wychodzą nieprawdopodobne łamańce przy odmianie tych nazw. Czasem warto zostawić nazwę danego plemienia tylko w mianowniku, jak Kri czy Brule (których p. Teplicki nazywa Brileami) niż za wszelką cenę silić się na oryginalność. Podobnie jest z przekładaniem imion indiańskich. Nikt nie posądza autora o brak znajomości

języka angielskiego, ale nazywanie wodza Szawanezów Kaczana Kukurydzy (Cornstalk) Dryblasem, czy wodza Siuksów Brule Wielkie Usta (Big Mouth) Wielkim Pyskiem to lekka przesada. Szokuje przekład nazwy plemienia Nez Perce – Przekłuwacze Nosów. W polskiej literaturze od dawna istnieje właściwe określenie – Przekłute Nosy. Po co się wysilać, tłumacząc nazwę plemienia Szawanezów (Szaunisów jak poprawnie zresztą pisze p. Teplicki) jako Ludzie Bełkotliwej Mowy, kiedy można po prostu Ludzie Niezrozumiałej Mowy. Z dużą dowolnością dokonuje autor przekładu tego samego słowa. Np. imię Sitting Bull tłumaczy jako Siedzący Byk, natomiast Short Bull to już Niski Bawół. Szkoda, że p. Teplicki, pisząc swą książkę, nie skorzystał z dzieł profesora Jana Szczepańskiego, autora m.in. *Czarne wampuny głoszą wojnę*, czy z książki hrabiego Gagera *Prawdziwe życie Skórzanej Pończochy* w cudownym przekładzie pani Lidii Zacharskiej. Od dwojga tych ludzi piszących wspaniałą polszczyzną można się naprawdę wiele nauczyć.

Tyle uwag co do stylu i słownictwa, jakie zaprezentował autor. Powtarzam, dla mnie są to sprawy drugorzędne (choć również bardzo ważne), gdyż komuś może się to podobać. Najważniejszym mankamentem książki jest fakt, że nie jest dziełem historycznym, za jakie chce uchodzić, lecz zbiorem anegdot, gdzie fikcja graniczy z rzeczywistością. Dlaczego nie posiada ona bibliografii? W tekście autor powołuje się, co prawda, na takie autorytety jak Robert M. Utley, Wilcomb E. Washburn, Dee Brown (a konkretnie na jego tendencyjną „zrodzoną z głębokiego poczucia winy”, jak się wyraził profesor James A. Clifton, książkę *Pochowaj me serce w Wounded Knee*), Alvin M. Josephy, Jr, ale obok nich widzimy takie nazwiska jak powieściopisarz Elliott Arnold, czy znany u nas z popularnej historyjki pod tytułem *Wielcy wodzowie Indian* Włoch Piero Pieroni. Cytuje też Olivera La Farge, D’Arcy Mc Nickle’a czy Williama Brandona, lecz są to raczej publicyści niż historycy, natomiast poglądy takich historyków jak Bob Utley, z którym koresponduję od ponad dziesięciu lat czy profesor Washburn, z którym wymieniałem kilka listów, uległy na pewne sprawy zasadni-

czym zmianom. Mam tu na myśli choćby romans Tecumseha z Rebekeą Galloway opisany przez p. Teplickiego na stronie 133 jego książki, a który przytacza za *Indian Wars* Utleya i Washburna (s. 117). Pan Teplicki nie bierze pod uwagę, że od chwili gdy ukazały się dzieła, z których korzystał, upłynęło wiele czasu i naukowcy amerykańscy dotarli do wielu nieznanych im uprzednio źródeł prowadzących do nowych wniosków i rewidowania ich poprzednich poglądów. Pracom pisany przez autorów starszej daty, takich jak pani Mari Sandoz, będącej wg pana Teplickiego najlepszą znawczynią biografii Szalonego Konia (s. 333) zarzuca się jednostronne interpretowanie faktów, brak obiektywizmu, uleganie emocjom. Chodzi tu o pisarkę zmarłą w 1966 roku, a co dopiero mówić o autorach dzieł z czasów kolonialnych czy pierwszej połowy XIX wieku, kiedy raz przekazany przez naocznego świadka opis wydarzeń czy jego prywatna opinia o jakiejś jednostce uchodziły za pewnik przez dziesiątki lat. „Książka i Wiedza” przedstawia p. Teplickiego jako „pełnego pasji badacza i znawcę tematu” (patrz okładka książki), ale lektura jego dzieła absolutnie tego nie potwierdza. Mieszkając przez dziesięć lat w Stanach Zjednoczonych mógł dotrzeć do źródeł takich jak np. pisma kapitana Johna G. Bourke’a, które z chęcią przeczytałaby pani Mari Sandoz, co tylko korzystnie wpłynęłoby na jakość jego książki. Zamiast tego, uparcie obstaje przy dawno już obalonych w amerykańskiej historiografii mitach, jak chociażby mit czerwonoskórego Napoleona, czyli wodza Józefa (rozd. 13), który w rzeczywistości żadnym geniuszem militarnym nie był. Albo obwinianie porucznika Bascona (s. 239-40) o sprowokowanie wojny z Cochise’em. Nadal – wraz z autorami westernów, komiksów i opowieści o Dzikim Zachodzie – każe ginąć w walce wręcz wodzowi Czejenów Żółtej Ręce, którego zresztą zalicza do Siuksów (s. 339), podczas gdy padł on od kuli Buffalo Billa. Nadal operuje (bez względu na obiektywną prawdę) takimi pojęciami jak „czerwonoskórzy sprzedawcykowie” (czyli to formowanej w rezerwach policji złożonej z Indian; autor zdaje się nie wiedzieć, że policja była bodaj jedyną instytucją, jaką Indianie akceptowali w rezerwach) – s. 218.



Wodzowie z różnych powodów współpracujący z białymi to „przekupni”, „zdrajcy” (s. 19, 154, 156). Wciąż pokutuje jednostronny wizerunek podboju i wytopienia dobrych Indian przez złych białych bez najmniejszej refleksji nad warunkami, w jakich się one odbyły i nad motywami tych, którzy nimi kierowali. A dobrze by się stało gdyby czytelnik wiedział, że twórcom planu przesiedlenia Indian poza Misisipi zależało nie tylko na zagarnięciu ich terenów, ale i na umieszczeniu z dala od zgubnego wpływu cywilizacji białych.

Ostatnia rzecz to masa błędów rzeczowych, jakich dopuścił się autor. Lektura książki sprawia wrażenie, że autor nie ma szczególnego pojęcia o sprawach, które opisuje. Jest wprost niemożliwością wyliczyć wszystkie bzdury, jakie powypisywał, więc ograniczę się do kilku przykładów. Na str. 18 każe Unkasowi zabić Miantonomo, wodza Narragansettów w 1643 roku (wykonawcą wyroku był w rzeczywistości Wawequa, brat Uncasa), zaś na str. 48 uśmierca go jeszcze raz w 1676 roku wraz z synem Canonchetem. „Samoset, ostatni wódz Pekotów” (s. 35), który w 1620 roku powitał Ojców Pielgrzymów był wodzem Abenaków, Pequotowie zaś jako plemię przestali praktycznie istnieć w 1637 roku; generał Braddock nie mógł Johnsonowi wręczyć po udanej kampanii nominacji na komisarza do spraw Indian (s. 90), gdyż dwa miesiące wcześniej zginął nad Potomakiem Żółwia, 9 lipca 1755 roku. Na str. 189 w jednej osobie autor łączy dwóch wybitnych wodzów Seminół: Łukonogiego Billa (którego nazywa Billy Pałakowate Nogi) i Aligatora. Pierwsze imię miał otrzymać od białych, drugie od swoich. Tymczasem byli to dwaj wodzowie wstawieni podczas drugiej i trzeciej wojny seminolskiej. Aligator żył w latach 1795-1861, zaś Łukonogi Bill w latach 1812-1864. „Trzy tysiące piechurów, członków ochotniczej milicji... poległo na błotach Florydy, nie licząc zabitych białych osadników” (s. 196). Skąd ta cyfra? Profesor John K. Mahon w swej monumentalnej *History of the Second Seminole War 1835-1842* podaje, że zginęło 1466 żołnierzy (w tym jedynie 328 w walce) i 69 marynarzy. W walce poległo tylko 55 ochotników, choć od chorób niewątpliwie więcej. Na str. 218 czytamy, że w latach czterdzie-

stych XIX wieku „teksascy osadnicy przepędzili Lipanów do Meksyku, gdzie wojsko wraz z Indianami Kikapu wybiło ich niemal do ostatniego”. Tymczasem Apacze Lipan byli sojusznikami Kikapu, z którymi jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku z terytorium Meksyku, dokąd zaprosił ich tamtejszy rząd, dokonywali najazdów na Teksas. Według p. Teplickiego Cochise był szwagrem, a nie zięciem Mangasa Coloradas (s. 227). Cochise miał brata imieniem Naretana (s. 236), Geronimo chodził w kajdanach, będąc gościem na wystawach w St. Louis i Omaha (s. 267). Uważam się, chyba nie bez racji, za fachowca od historii Apaczów, ale z tymi rewelacjami spotykam się po raz pierwszy. Pan Teplicki powołuje się w tekście swej książki na Elliotta Arnolda, autora znakomitej powieści o Cochise, zatytułowanej *Blood Brother*, której nie czytałem, a z której p. Teplicki może korzystać. Pisać jednak pracę naukową, korzystając z najlepszej nawet powieści, to tak jakby się pisało o powstaniu Chmielnickiego, bazując na *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza.

Tyle byłoby generalnych uwag odnośnie książki Zbigniewa Teplickiego. Dołączyła ona do szeregu „dzieł” o historii Indian amerykańskich pióra takich „fachowców” jak Łysiak, Fiedlerowie czy Halikowie. Nic jej nie pomogą żałosne próby polemizowania z amerykańskimi naukowcami jak na przykład z Frederickiem J. Dockstaderem (s. 253), jakie podejmuje autor. Ciekawe, kto był recenzentem książki i co to znaczy, że „materiały ilustracyjne pochodzą z prywatnych zbiorów Autora”? □

Aleksander Sudak

**Od redakcji:** Recenzja ta została napisana jeszcze w 1995 roku, ale po ukazaniu się *Leksykonu 300 najsłynniejszych Indian* Aleksandra W. Sudaka – wycofaliśmy ją z druku. Ze względu jednak na liczne listy od czytelników (powołujących się m.in. na książkę Zbigniewa Teplickiego) do naszego redakcyjnego kolegi, publikujemy tę recenzję, w pełni zgadzając się z jej argumentami. Jesteśmy przekonani, że mamy w Polsce już dosyć „książek o Indianach”. Czas na dzieła wartościowe, oparte na najnowszych badaniach i interpretacjach historycznych.

## List otwarty (na krytykę) do Czejena

Czytałem Twój „Leksykon”.

Wielokrotnie miałem niewątpliwą przyjemność przysłuchiwać się Twoim gawędom o blaskach i cieniach indiańskiej historii, więc rozległość Twojej wiedzy nie była dla mnie zaskoczeniem. Została za to po raz kolejny potwierdzona.

Wnikliwsze jednak zagłębienie się w lekturze rodzi kilka istotnych wątpliwości. Ważniejszych niż bardzo mizerna mapa, która w obliczu wielu skrupulatnych datowań wydaje się kuriozalnie pozaczasowa, a ponadto niemal prosi się o to, by nanieść na nią wszystkie występujące w tekście plemiona. Ale furda! – uznaję, że to detal.

Inne rzeczy budzą wszakże niepokój. Oto bowiem wśród 300 najsłynniejszych mamy aż 42 Siuksów oraz po 16 Czejenów (bęc!) i Irokezów. Obliczyłem sobie dokładnie, dodając do wymienionych jeszcze Apaczów (21), Kiowa i Czirokezów (po 16), Delawarów i Seminół (po 15), na koniec Krików (10) i okazało



się, że zdecydowana większość godnych uwagi Indian wywodziła się z owych dziewięciu plemion! A zatem, „pseudoksiążki” i „pseudofilmy” nie zafałszowują obrazu tubylczej Ameryki zonglując ciągle tymi samymi zestawami postaci i rekwizytów! Wystarczy jedynie wydestylować z mętnego roztworu wszem znane składniki i otrzyma się to, co wśród Indian najlepsze.

Musisz mieć świadomość, że „Leksykon” ustala pewien kanon historycznej wiedzy. Piszesz we Wstępie o 30 mln (wszystkie dostępne mi źródła podają liczbę kilkakrotnie niższą – błąd w druku czy rozlana kawa?) i setkach plemion, a następnie radykalnie redukujesz ich liczbę. Niczym zaraza. Rozumiem, że decydują o tym osobiste upodobania, ale jeśli jest tak w istocie, to trzeba czytelników uprzedzić. Wielu przedstawicieli nie wymienionych ludów zasługiwało na krótką choćby wzmiankę bardziej, niż uwikłany w komedię pomyłek „Crazy In The Lodge”. Wytrawny historyk winien nie tyle przechadzać się po nasłonecznionych promenadach, ile penetrować raczej zaułki naszej (nie)wiedzy.

Drugi zarzut nieco paradoksalnie wiąże się z Twoją, Wojtku, drobiazgowością. Cudowne fragmenty opisujące wygląd, stosunki rodzinne czy pojedyncze zdarzenia z perełek narracji przemieniają się w słabości tekstu. Brak bowiem w „Leksykonie” szerszej perspektywy, głębokiego historycznego „oddechu”. Jeśli nic nie wiem o dziejach kontaktów, dajmy na to, Kiowa z białymi – a prawie nic nie wiem – to ta książka mnie nie oświeci. A szkoda, bo myślałem, że warto czasem poświęcić uroki szczegółu na rzecz rozmachu przedstawienia „większych” historii. bez tego w rezultacie miga przed oczami kalejdoskop, który może okazać się nużący.

I jeszcze uwaga ostatnia: mam nadzieję, że nie napiszesz drugiej takiej książki. Mówię zupełnie serio. Bo nie wyobrażam sobie, jak do starego druha można mówić per „mistrzu”. A na coś takiego, niestety, się zanosi. □

Waldek Kuligowski

Aleksander Sudak: *Leksykon 300 najsłynniejszych Indian*. Wydawnictwo „Akcydens”. Poznań 1995.



## Indiańska droga w dorosłość

Wiele, wiele zim temu, moje zainteresowanie tym, co indiańskie zawsze budziło i w dalszym ciągu budzi niesłabnącą ciekawość poznawania tych wspaniałych ludzi.

W latach młodości przeczytałem „Małego Bizona”. To była pierwsza indiańska książka, potem „Ziemia Słonych Skał” itd. Zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie, pamiętam każdy rozdział z tych książek.

Mój wiek chyba nie jest taki ważny, aczkolwiek nie zaliczam się do młodzieży. Postanowiłem jednak do ciebie napisać, bo chciałbym głębiej poznać człowieka, który fascynuje się tym tematem, wymienić doświadczenia, może spotkać się itp. Od osiemnastu lat jestem żołnierzem zawodowym i praktycznie mało mam czasu na swoje zainteresowania, ale myślę, że kiedy niebawem przejdę na zasłużoną emeryturę, w pełni poświęcę się pogłębianiu wiedzy i robieniu tego, na co mam ochotę.

Mieczysław Gronczewski

Bardzo się ucieszyłem, gdy w komiksie „Biały Orzeł” zobaczyłem reklamę czasopisma „Tawacin” i ciekawych książek.

Od małego dziecka, odkąd opanowałem czytanie, fascynowałem się przygodowymi książkami o Indianach i obdarzyłem jakąś gorącą sympatią. Już w szkole podstawowej koledzy dokuczali mi, że chciałem być „Indianinem”, a oni „kowbojami”. Mimo 47 lat moja sympatia do nich nie zanikła. Marzyłem i marzę nadal, żeby kiedyś pojechać do Ameryki lub innego kraju, gdzie żyją i wreszcie znaleźć się wśród nich. Zapoznać się realnie, na żywo. Myślę, że byłoby to dla mnie wielkim przeżyciem.

Aleksander Bereta, Osiek

## Nasze nowe kolory i tematy

Oczywiście przesłany numer „Tawacinu” podoba mi się. Cieszą oczy kolory, tak ważne przecież w materialnej kulturze Indian, cieszy także fakt, że męski zespół redakcyjny postanowił poświęcić kobiecie cały numer. Na pewno warto byłoby ten temat jeszcze podjąć, zbyt ważny aby kiedykolwiek uznać go za wy-czerpany.

Grażyna Leśniak, Poznań

Chcę tylko gorąco podziękować za otrzymany dosłownie kilka minut temu „Tawacin” – jest cudowny, okładka i jego zawartość. Nawet nie wiesz, ile radości sprawia mi każdy kolejny numer, ile nowych dla mnie rzeczy od kry-wam, poznaję i uczę się. Dzięki ludziom, którzy redagują „Tawacin” odkryłam, że to, czego całe życie szukałam nie jest gdzieś na zewnątrz, ale we mnie...

Jeszcze raz ogromne dzięki i buziaki...

Ewa Smyła, Łódź

## Złotowe niepokoje

Zmartwiła mnie trochę wiadomość o dwóch złotych w tym samym czasie. W Hajnówce jest parę osób zainteresowanych XX-tką, ale jeśli ludzie z Chodzieży nie dojdą do porozumienia to nie pojedziemy.

Swoją drogą, odczułem pewien powiew dyskryminacji. Mimo tego, że Grzegorz Dziabas otrzymał wampum złotowy uprawniający i dający pierwszeństwo w organizowaniu XX zlotu, to jego informacja została umieszczona jako druga. Wcześniej jest wytłumaczone, że info od Jacka Przybyłaka doszło pierwsze, ale to, że Grzegorz ma pozwolenie na zorganizowanie zlotu, które dostał już w lipcu ub. nie jest wyraźnie podkreślone. Jeśli tak dalej pójdzie to w następnym roku „Tawacin” zamieści trzy lub więcej (dez)informacji o XXI zlocie, nie wspominając nawet, kto otrzymał wampum złotowy, bo to będzie bez znaczenia.

Pedro Anasiński, Hajnówka

Nie powinniście robić czytelnikom wody z mózgu, zamieszczając konkurencyjne komunikaty o Zlocie. Przecież dla wielu „Tawacin” jest jedynym źródłem informacji. Gdybym sam się wybierał, w takiej sytuacji pewno zrezygnowałbym. Musicie przyjąć na siebie odpowiedzialność i jasno wskazać waszym zdaniem właściwe rozwiązanie.

Jan Szturc, Mysłowice

Cieszę się, że Grzesiek poszedł na kompromis. To chyba wiele spraw ułatwiło. Zresztą porównując obydwie oferty zamieszczone w „Tawacinie”, to sądzę, że Grzesiek nie miałby szans. Naprawdę nie pojmuję, o co ci ludzie walczą.

Justyna Łukasiewicz, Bełżyce

## Zwierzenia Cienia

33. *Szczep Mescalerek działa... w Pucku. Członkami szczepu są uczennice tutejszego Liceum Ogólnokształcącego. Narady odbywają się na działce rodziców Sakahet, czyli Hantki. Uczestniczą w nich również Uti, Ilczy i Keri. Indiański przysmak, niedźwiedzie łapki, których zapach zwabił półdzikiego psa – to zwyczajny kurczak. Nadmorskie fortyfikacje z kolei – to praca w ramach OHP polegająca na porządkowaniu plaży.*

*Wszystko zaczęło się od tego, że obejrzały kiedyś film „Winnetou wśród sępów”. Napisały później do jednej z gazet, że chciałyby poznać obyczaje Indian i może któryś z czytelników mógłby się podzielić jakimiś informacjami... List wkrótce nadszedł z Rzepina od tamtejszego szczepu. Od tej pory śledziły wszystko, co się ukazywało w prasie na tematy indiańskie. Kiedyś w „Dookoła Świata” znalazły artykuł o Indianach z Meksyku. Był ciekawy i właśnie dlatego wysłały list z podziękowaniem za jego zamieszczenie. List został opublikowany w piśmie i wkrótce... nadszedł pakiet zdjęć, książek i folderów z Ambasady Meksyku w Polsce.*

*W tej chwili przygotowują się do wyprawy na Międzynarodowy Zjazd Miłośników Indian organizowany przez plemię Dakota z Chodzieży. Gośćmi zjazdu mają być prawdziwi Indianie, a także „indiańskie szczepy” z Polski, NRD i Czechosłowacji. Mescalerki wiele sobie po nim obiecują. (...) Ten dziwny szczep Mescalerek liczy zaledwie cztery osoby. Stanowi to dużą troskę jego członków. Zastanawiają się, jak ten kłopot rozwiązać. A może problem ten zniknie, jeśli nawiążą kontakt z jakimś pobliskim szczepem? Można by sądzić, że dziewczęta ze szczepu Mescalerek mają po dziesięć lat. W tym wieku bowiem najchętniej ogląda się indiańskie filmy i czyta książki Karola Maya. Mescalerki są jednak starsze – są już uczennicami liceum. Swoje zainteresowania traktują jako miłą zabawę, dzięki której lepiej poznają... geografię, historię, a także inną, ginącą już kulturę. Jeśli uda im się wciągnąć*

*do tego młodszych kolegów, będzie to na pewno jeszcze bardziej pozytywne. Powodzenia!*

34. Przytoczyłem ten obszerny cytat z artykułu Włodzimierza Słowińskiego „Mescalerki z Pucka”, bowiem ukazał się on w „Świecie Młodych” równo dwadzieścia lat temu, 12 czerwca 1976 roku. Gdyby nie on zaś, nie wiem, czy ja – samotny miłośnik Indian z drugiego krańca Polski – dowiedziałbym się kiedykolwiek o podobnych mi młodych ludziach i o planowanym przez nich zlocie w Chodzieży. A tak – napisałem to sobie do „Świata Młodych”, Redakcja przekazała mój list do Pucka, Sakahet podała mi kolejne adresy (za co podziękuję Jej dopiero na zlocie) i tak – trafiłem do Ruchu...

35. Dziś, po dwudziestu latach, zmieniło się niemal wszystko – w nas, wokół nas i wśród Indian. Nie ma już szczepu Mescalerek z Pucka (Sakahet mieszka w Niemczech). Nie istnieje już klub w Technikum Leśnym w Rzepinie (ale działa paru jego wychowanków). Rozeszły się też drogi chodzieskich Dakotów, którzy już tylko przy okazji kolejnych jubileuszy próbują zrobić coś wspólnie (z coraz większym trudem, czego doświadczyliśmy przy okazji przygotowań do XX Zlotu). Nie ma już nawet NRD i Czechosłowacji...

36. Ale chociaż wybór gazet, książek i filmów oraz możliwość spotkania autentycznych Indian w kraju i za granicą są bez porównania większe, to wielu z nas zachowa na zawsze sentyment dla nieśmiertelnego „Winnetou” i niezastąpionego Sat-Okha. Choć nasze „indiańskie ścieżki” bywają kręte i prowadzą czasem daleko, to nie brak ludzi, dla których Ruch, złoty – to najpiękniejsze wspomnienia i najgłębsze emocje. Wciąż zawiązują się nowe grupy, koła, zespoły. Powstają o nas reportaże i prace naukowe. Mamy coraz więcej indiańskich kontaktów i przyjaźni w krajach bliskich nam i dalekich. Każdego lata powiększa się krag ludzi i tipi na złotych Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. A więc raz jeszcze – „Powodzenia!”

Czytelników, chcących opowiedzieć jak trafili do Ruchu, prosimy o listy – Redakcja.

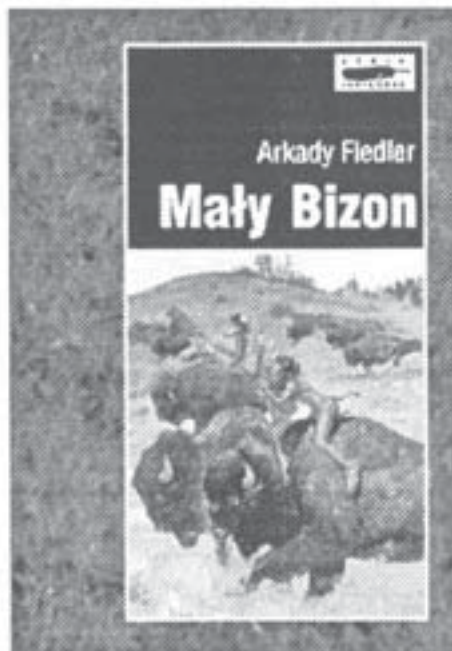


## „TAWACIN” PROPONUJE:



**Leksykon 300 najsłynniejszych Indian** Aleksandra Sudaka to jedyna w Polsce publikacja o charakterze encyklopedycznym, zawierająca sylwetki najbardziej znanych Indian Ameryki Północnej. Obok fotografii i podstawowych informacji biograficznych, czytelnik znajdzie także barwne, czasami dramatyczne, choć nie pozbawione humoru wizerunki postaci, które na trwałe wpisały się do historii wzajemnych relacji Indian i białych na przestrzeni wieków. Autor z żarliwością wymienia zalety ich charakteru i błyskotliwe osiągnięcia, jak również ich wady i słabości, czym niejednokrotnie może zbulwersować czytelnika.

Aleksander Sudak: *Leksykon 300 najsłynniejszych Indian*. Wydawnictwo Akcydens. Poznań 1995, stron 256, cena 29 zł.



### Klasyka polskiej literatury indianistycznej

**Mały Bizon** Arkadego Fiedlera, który ukazał się po raz pierwszy w 1952 roku, do czekał się już wielu wydań, w tym kilkunastu w obcych językach. Obecnie, po prawie dziesięcioletniej przerwie od ostatniego wydania, proponujemy powrót do lektury, która dla wielu była pierwszą książką o Indianach, darzoną do dziś niezmiennym sentymentem.

Książka ta, ukazująca się jako pierwsza w „Serii indiańskiej”, ilustrowana jest przez Wiesława Ziembę oraz wzbogacona przedmową Aleksandra Sudaka, znanego autora *Leksykonu 300 najsłynniejszych Indian*.

Arkady Fiedler: *Mały Bizon*. Wydawnictwo Akcydens. Poznań 1996, stron 256, cena 16 zł.



### O sprawie, by żył mój lud!

Pewien starzec stojący na górze Harneya wznosił ramiona do pustego nieba i wypowiadał te dramatyczne słowa. Nazywał się Czarny Łoś, był wojownikiem i świętym człowiekiem Siuksów Oglala. Brał udział w największych wydarzeniach w historii swego ludu: jako 13-latek chłopiec oglądał bitwę z Custerem nad rzeką Little Big Horn, a w 1890 uczestniczył w ostatniej masakrze Siuksów nad strumieniem Wounded Knee.

W tej książce opowiada o wielkiej wizji, jakiej nie doświadczył żaden inny człowiek. Dzięki niej miał przetrwać naród Siuksów.

**CZARNY ŁOŚ** – Opowieść indiańskiego szamana. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane poprzez Johna G. Neiharda (Płomienną Tęczę). ZYSK i S-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 14 zł.

**Wietrzny Orzeł** to zbiór przepięknych opowieści Abenaków, nawiązujących do tradycji gawędziarstwa. Indiańskie opowieści, opowiadane przeważnie jesienią i zimą, bawiły słuchaczy, a jednocześnie uczyły i przypominały o podstawowej mądrości życia w harmonii z naturą. Perypetie Gluskabiego, mitycznej postaci w kulturze Abenaków, odwołują się do naszej wyobraźni i ilustrować związki człowieka z otaczającym światem; i choć nie mamy takich zdolności jak Gluskabi, możemy jednak swoimi poczynaniami albo umacniać życie na ziemi, albo je niszczyć.

Opowieści Josepha Bruchaca są mądre i praktyczne, prawdziwie ekologiczne i przyjazne człowiekowi.

Joseph Bruchac: *Wietrzny Orzeł i inne opowieści Abenaków*. Biblioteka „Tawacina” nr 24. Wyd. Tipi. Wielichowo 1995, stron 64, cena 4 zł.

Marek Fiedler, zafascynowany światem Indian, napisał kolejną książkę – po *Indiańskim Napoleonie Gór Skalistych* i *Szalonym Koniu* – poświęconą sławnemu wodzowi, tym razem Siedzącemu Bykowi.

Siedzący Byk to postać ze wszech miar frapująca, złożona i niezwykła. Miał gorących zwolenników, ale również wielu wrogów – także pośród samych Indian. Ktoś kiedyś powiedział, że wojownik, który przegrywa, jest przestępcą, ten zaś, który wygrywa, staje się mężem stanu. Istotnie, jedni chcieli widzieć w Siedzącym Byku przestępcę, inni – dostrzegali w nim moralnego zwycięzcę, natomiast on sam tak mówił o swych przeciwnikach: „Nigdy nie złamię mego ducha”.

Marek Fiedler: *Siedzący Byk*. ZYSK i S-ka Wydawnictwo. Poznań 1996, stron 164, cena 12 zł.

### WIETRZNY ORZEŁ I INNE OPOWIEŚCI ABENAKÓW



JOSEPH BRUCHAC







Leszek Michałik: *Tylko Ziemia przetrwa...* Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK. Sztum 1992, stron 140, cena 5 zł.

Tradycyjne legendy i opowieści, sztuka krasomówcza, wspomnienia, współczesna poezja i proza.

Jarosław Gach: *Biały Orzeł*. Wydawnictwo Akcydens. Poznań 1996, stron 52, cena 4 zł.

Kolorowy komiks autora goszczącego już na łamach „Tawacinu”.



*Historia wojen Indian Ameryki Północnej*. Wydawnictwo Akcydens. Poznań 1995, stron 208, cena 28 zł.

Książka przedstawia wydarzenia z lat 1607–1890. Barwne, zawierające szereg danych liczbowych i taktycznych, opisy bitew wzbogacone zostały licznymi ilustracjami – oryginalnymi zdjęciami oraz reprodukcjami obrazów i grafik (papier kredowy, format A4). Ponadto wiele map, poczet wodzów oraz chronologia wydarzeń.

### „TAWACIN” Z LAT UBIEGŁYCH

Dostępne są jeszcze następujące numery:

1992  
19 i 20 po 1,20 szt.  
1993  
21 i 24 po 1,50 szt.  
1994  
26, 27 i 28 po 1,90 szt.  
1995  
29, 31 i 32 po 2,90 szt.

### UWAGA UWAGA

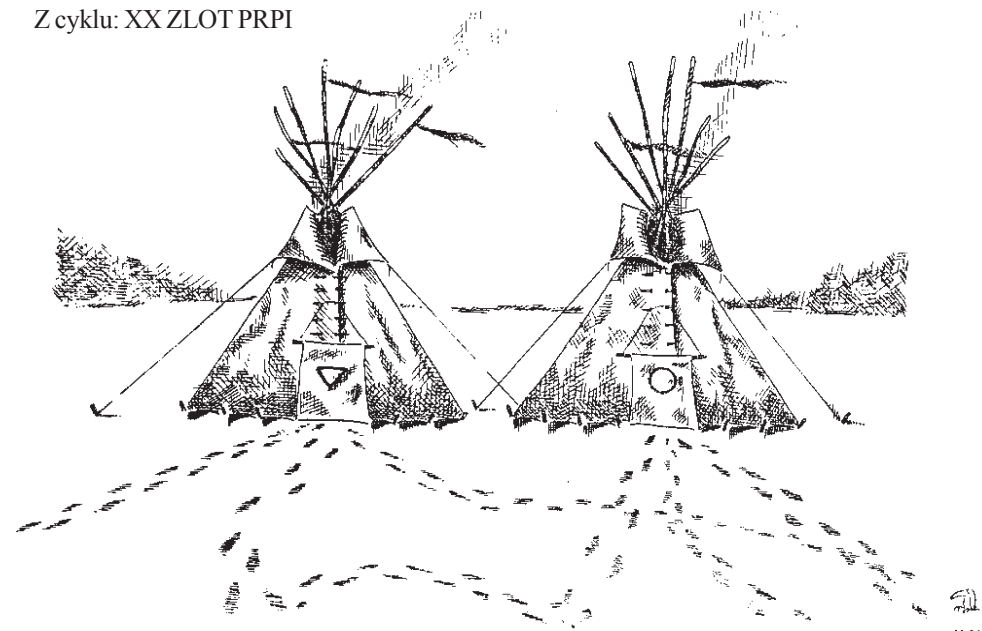
Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian (PSPI) informuje, iż dotychczasowe adresy korespondencyjne na skrytki pocztowe w WARSZAWIE i BIAŁYMSTOKU są już nieaktualne. Nowy adres PSPI podany zostanie w następnym numerze.

W następnych numerach:

- \* Apacze – Orły Południowego Zachodu
- \* Stopa Wrony (Crowfoot) – wódz i dyplomata Czarnych Stóp
- \* Algonkinowie
- \* Indiańskie używki
- \* Szalaś potu
- \* Galeria „Tawacinu”



Z cyklu: XX ZŁOT PRPI



### WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi razem z wysyłką 3 zł. Prenumerata roczna wynosi 12 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Cena wynosi wtedy następująco:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1996 r.
1	3,00	12,00
2-3	2,80	11,20
4-8	2,60	10,40
od 9	2,40	9,60

Wpłaty należy kierować na konto:

TIPI, MAREK MACIOŁEK  
UL. ŁĄKOWA 3  
64-050 WIELICHOWO  
GBW-BS W WIELICHOWIE  
NR 963549-56531-2706-2

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

### POCZTÓWKI Z WIZERUNKAMI SLYNNYCH INDIAN

Nr 8 Low Dog (Oglala)  
Nr 11 Chief Joseph (Nez Perce)  
Nr 15 Lone Wolf (Kiowa)  
Nr 16 Kicking Bird (Kiowa)  
Nr 21 Wolf Robe (Cheyenne)  
Nr 26 Quanah (Comanche)  
Nr 29 Rain in the Face (Hunkpapa)  
Nr 36 Sitting Bull (Hunkpapa)

Komplet 8 szt. kosztuje 3 zł 20 gr. Pojedynczo – 50 gr/szt.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę na konto:

Marek Maciołek, TIPI  
ul. Łąkowa 3  
64-050 Wielichowo  
GBW-BS w Wielichowie  
Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez pocztę i bank, realizacja zamówień może trwać do 2 tygodni.

Prosimy podawać czytelnie i dokładnie adres oraz na odwrocie przekazu tytuły zamawianych książek. Przekazy nie opisane traktować będziemy jako dotację na „Tawacin”.